



WOLNA SŁOWA

TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW — 'HEBDOMADAIRE DES POLONAIS LIBRES'

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
20, rue Legendre, 20 — PARIS (17)
Métro: Villiers, Tel.: WAG 00-45

ROK XII — Nr 42 (549)

25 PAŹDZIERNIKA — 25 OCTOBRE 1958

CENA
PRIX 45 fr.

EMERYK CZAPSKI

PO ZGONIE PAPIEŻA PIUSA XII

Rzym, w październiku

PAPIEŻ Pius XII zmarł po krótkiej czterodniowej chorobie. Historia przeszło 19-letniego panowania Piusa XII bogata jest w wiekopomne posunięcia zarówno w dziedzinie wiary katolickiej, jak też w dziedzinie polityki międzynarodowej. Największy autorytet moralny, uznawany także przez nie-katolików, zapisał się dużymi zgłoskami w historii świata.

Uroczystości pogrzebowe trwały szereg dni, absorbując uwagę szczególnie rzymian, których półtora miliona przesuwało się w skupieniu przez Bazylikę św. Piotra — w hołdzie Papielowi, którego tylekroć widzieli wśród siebie zarówno w chwilach ciężkich, jak radosnych. Zwioki Papięza spoczęły w podziemiach tej Bazyliki, w miejscu wybranym przez niego, niedaleko grobu pierwszego Namiestnika Chrystusowego.

Kardynałowie z całego świata zjeżdżają do Rzymu na Konkławę, którego datę ustalono na 25 października. Po zgonie kardynała Constantini, liczba uprawnionych do głosowania wynosi 54. Na pewno jednak nie przybędą kardynałowie Stepinac z Jugosławii i Mindszenty z Węgier. Głosujących więc będzie mniej niż 52, gdyż kardynałowie są przeważnie w wieku podeszłym, przyjazdy zaś z daleka, nawet przy obecnych warunkach komunikacyjnych, wymagają sił. Więcej niż 3/5 kardynałów przekroczyło 70 lat, a kardynał chilijski ma już 92 lata. Do najmłodszych należy nasz kardynał Wyszyński. Nie można przewidzieć, jak długo potrwa Konkława, zwłaszcza że przy wyborze Papięza obowiązuje kwalifikowana większość — dwie trzecie plus jeden głosów. Konkława, na którym wybrano zmarłego właśnie Papięza — trwało bardzo krótko.

Prasa światowa, a zwłaszcza włoska, poświęca wiele miejsca analizie szans poszczególnych kandydatów na te najwyższe i tak bardzo odpowiedzialną godność, jaką jest Stolica Piotrowa. Pole do wnioskowań jest wielkie, gdyż od czasu ostatniego Konkławy, czyli od 1939 r., szasło tak wiele zmian, iż zaważyły one mogą na decyzjach Kolegium Kardynałowskiego w sposób trudny do przewidzenia.

Pierwszą i główną zmianą jest skład Kolegium Kardynałowskiego, w którym

Włosi, zamiast większości, stanowią mniejszość, i to znaczną: 17 na 54. Czy wybrany zostanie Papięz włoski? Oto pierwsze wielkie pytanie. Wśród nie-Włochów wydaje się mieć poważne szanse kardynał Agagianian, Ormiańczyk wychowany w Rzymie, znany ze swej świątobliwości i wielkiej wiedzy; ma on 63 lata. Nazwisko to słyszy się nawet w rozmowach z Włochami. Jeśli chodzi o kandydatów Włochów, to ich liczba jest większa niż by się można było spodziewać.

We Włoszech zainteresowanie Konkławę jest większe niż w jakimkolwiek

innym kraju. Tłumaczyć to należy ogromnym wpływem Stolicy Apostolskiej we Włoszech, zwłaszcza że rządzi tym krajem chrześcijańska demokracja, która się liczy z Watykanem. Właśnie ten wzgląd na wewnętrzną politykę włoską czyni, że mowa jest o kilku kardynałach: poszczególne grupy chrześcijańskiej demokracji chciałyby widzieć tego czy innego kardynała Papięzem. Powtarza się często — w rozmowach i w prasie — nazwisko arcybiskupa Mediolanu Montini'ego, którego wieloletnia praca w Sekretariacie Starium zyskała mu wielki mię-

dzynarodowy szacunek, a którego postać należy do najwybitniejszych duchownych włoskich. Wydaje się, iż jeśli arcybiskup Montini nie znajdzie się wśród kandydatów w Konkławę — nie jest on, niestety, dotychczas kardynałem, co zresztą nie uniemożliwia wyboru jego osoby — to jest bardzo prawdopodobne, że będzie on najpoważniejszym kandydatem na stanowisko Sekretarza Stanu przyszłego Papięza.

Interesującym byłoby studium porównawcze wpływów Kościoła katolickiego w świecie na tle obecnego Konkławy. Stanowi ono wydarzenie, którym interesuje się żywo cały świat.

Cały świat katolicki modlił się będzie o jak najtrajniejszy wybór przyszłego Papięza.

Emeryk Czapski

POLITYCZNY SEZON W POLSKIM LONDYNIE

Londyn, w październiku

JEŚNIENNY sezon w polskim Londynie rozpoczyna się pod znakiem dość ożywionej działalności, rozwijanej przed i za kulisami naszej politycznej sceny. Z jednej więc strony niepodległościowe przedstawicielstwo emigracji, władze Zjednoczenia Narodowego z Radą Trzech na czele przygotowują się, wraz z organizacjami społecznymi, skupionymi w Zjednoczeniu Polskim w W. Brytanii, do uroczystości 40-lecia odzyskanej w roku 1918 niepodległości. Masowe zebranie publiczne w Westminster Cathedral Hall i specjalne posiedzenie Tymczasowej Rady Jedności Narodowej będą głównymi punktami programu.

W ten sposób, tegoroczny obchód Święta Niepodległości będzie miał wyjątkowo uroczysty charakter, który wymaga też szczególnych przygotowań i trochę odmiennie organizacji. Podczas gdy normalnie uroczystość tę urządza samo Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, czyli same organizacje społeczne, w tym roku — po dość długich dyskusjach — przeważił pogląd że należy rozszerzyć tę piąszczyznę. Postanowiono dać wyraz z tej okazji wspólnemu frontowi czynników społecznego i politycznego, co nabiera tym bardziej znamiennej wymowy, że z niektórych stron próbowano ostatnio rozluźnić harmonijne współdziałanie obu wspomnianych czynników. Próby te robiono pod hasłem „apolityczności” życia społecznego, przy czym jakby zapomniano, że mogłoby to w praktyce

prowadzić do odebrania życia społecznemu emigracji wyraźnej postawy niepodległościowej.

W rezultacie, zdecydowano urządzenie akademii 40-lecia Niepodległości przez specjalny komitet, który skupi najważniejszych osobistości z p. Marszałkowską A. Piłsudską i gen. W. Andersem na czele, przy czym strona społeczna będzie reprezentowana na równi z polityczną. Wyrazem takiego, szerokiego frontu będą również przemówienia, z których główne wygłosi gen. Anders. Ponadto zabiorą głos przedstawiciele najważniejszych kierunków politycznych i życia społecznego.

Z. NULLUS

Podstęp podpalczy świata

W chwili gdy prowadzona od lat między Wschodem i Zachodem t.zw. „zimna wojna” w niektórych zapalnych punktach globu przybrała formy wysoce niepokojące; kiedy nad całą ludzkością zawisło niebezpieczeństwo rozszerzenia się konfliktu, i to tym razem z groźbą użycia przez strony apokaliptycznych broni masowego zniszczenia — Związek sowiecki raz jeszcze wystąpił na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych z wnioskiem o bezwarunkowym i natychmiastowym zaprzestaniu doświadczania z bronią atomową, oddzielając to zagadnienie od sprawy skutecznej kontroli, zakazu fabrykacji tej broni i sprawy powszechnego rozbrownienia.

Przedstawiciel Związku sowieckiego w Organizacji Narodów Zjednoczonych, Zarubin, wystąpił z tym wnioskiem obliczonym, jak się wydaje, przede wszystkim na efekt propagandowy, gdyż w tym samym właśnie czasie Związek sowiecki wznowił swe doświadczenia atomowe, po kilkumiesięcznej przerwie.

Wysuwając ten wniosek, Związek sowiecki wie doskonale, że nie może on być przyjęty przez Zachód w proponowanej przez Moskwę formie, ale pragnie raz jeszcze przedstawić się światowej opinii jako rzekomy „szermierz pokoju”, zwłaszcza że kilkakrotnie już groźby Chruszczowa użycia

przeciw Zachodowi pocisków międzykontynentalnych i w ogóle broni atomowej mocno zachwiała na Zachodzie wiarę w pokojowość Sowietów.

Na każdy podobny rzekomo „pojedynczy” gest Sowietów Zachód patrzy obecnie — i słusznie — jako na nowy podstęp, mający na celu uspienie czujności i gotowości obronnej demokracji zachodnich. Toteż nie odrzucając wprost propozycji sowieckiej, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w O.N.Z. Cabot Lodge, wyraził w zasadzie zgodę na przerwanie doświadczeń z bronią atomową na okres jednego roku, pod warunkiem wzajemności; wysunął jednak zastrzeżenia natury proceduralnej co do układu stron w tej sprawie, proponując rozpoczęcie rokowań na drodze dyplomatycznej, nie zaś — jak proponuje Związek sowiecki — na konferencji ministrów spraw zagranicznych państw t. zw. „klubu atomowego”.

W tej sytuacji, specjaliści w dziedzinie polityki międzynarodowej, jak i w dziedzinie techniczno-wojskowej, zastanawiają się nad tym, czy i w jakim stopniu ewentualne przerwanie doświadczeń z bronią atomową może wpłynąć na zmianę w międzynarodowym układzie sił.

Według opinii pierwszych, zawieszenie doświadczeń z bronią atomową winno być rozpatrywane jednocześnie ze sprawą zakazu jej fabrykacji, skutecznej kontroli i powszechnego rozbrownienia. Każde z tych zagadnień, rozpatrywane oddzielnie, nie usuwa niebezpieczeństwa wojny, a w pewnych warunkach może nawet stworzyć niebezpieczne zachwianie równowagi sił, które zachęcić może jedną ze stron do wykorzystania sytuacji. Oczywiście, w tym wypadku ma się na uwadze tylko agresywne zamiary Związku sowieckiego.

Jeżeli chodzi o opinie specjalistów techniczno-wojskowych, to zdania ich w sprawie zawieszenia doświadczeń z bronią atomową są podzielone.

Jedni twierdzą, że Związek sowiecki, posiadając tak jak i Stany Zjednoczone zarówno bombę A, jak i bombę H, przez zakaz doświadczania pragnie zyskać tylko czas na uzupełnienie zapasów tej broni do ilości posiadanej przez Stany Zjednoczone. Inni natomiast twierdzą, że zawarcie porozumienia w sprawie zawieszenia doświadczeń z bronią atomową, czy też nawet zakaz jej produkowania — w niczym nie zmieni sytuacji.

Broń atomowa stała się bowiem rzeczywistością; ona już jest.

Stany Zjednoczone i Związek sowiecki produkują bomby o sile niszcycielskiej znacznie większej, niż tego wymagają względy strategiczne. Bomba A, czy bomba H niszczy nie tylko same obiekty wojskowe. Oba te mocarstwa posiadają dostateczną ilość środków dla produkcji tych bomb, i jeżeli się mówi, że Stany Zjednoczone produkują rocznie około kilkudziesię-

Dokończenie na str. 3ej

WBREW REŻYMWI

REŻYM „dobrego” Gomułki i wyjątkowo obrzydliwej kreatury, jaką jest Cyrankiewicz, reżym całej plejady Zawadzkich, Rysiwickich i Zawieyskich — zignorował wydarzenie tej miary co zgon wielkiego papięza Piusa XII. Świadomie i celowo, w wykonaniu opracowanego na długą metę planu oderwania Polski od kultury zachodniej i Rzymu — raz jeszcze pogwałcił uczucia narodu polskiego, w którym rzymscy katolicy stanowią 96 proc. ludności, raz jeszcze w sposób brutalny zaokumentował — zgodnie z tym, co nam tutaj w Paryżu prawili przed rokiem jeden z tak zw. katolików postępujących — że Polska musi należeć do barbarzyńskiego Wschodu „nie tylko nogami, ale i głową”.

Istotnie, w chwili, gdy państwa całego wolnego świata, gdy narody wszystkich ras, wszystkich kultur i wszelkich wierzeń religijnych śpieszyły oddać hołd papięci Anielskiego Pasterza, w Warszawie formowano delegację nie do Rzymu, lecz do Moskwy, tej nowoczesnej Mekki międzynarodowego komunizmu.

Nigdy jeszcze tragizm narodu polskiego, narodu tak bardzo przywiązanego do wiary swych ojców, nie wystąpił z taką siłą, jak właśnie w czasie rzymskich uroczystości pogrzebowych.

W tych uroczystościach wzięli udział przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji, Italii, Niemiec Zachodnich, Zjednoczonej Republiki Arabskiej, Izraelu, Hiszpanii, Belgii, Holandii, Danii, Austrii, Szwecji, Norwegii, Portugalii, Szwajcarii, Finlandii, Irlandii, Luksemburga, San Marino, Monako, Etiopii, Liberii, Libanu, Jordani, Indii, Indonezji, Nowej Zelandii, Australii, Chin Narodowych, Pakistanu, Japonii, Filipin, Kanady, Argentyny, Boliwii, Brazylii, Chile, Kolumbii, Costa Rica, Kuby, Republiki Dominikańskiej, Salwadoru, Ekwadoru, Gwatemali, Haiti, Hondurasu, Nikaragui, Panamy, Paragwaju, Peru, Wenezueli i Urugwaju.

Alle oficjalnej delegacji z Polski nie było. Nikt w ogóle nie przybył z krajów znajdujących się dzisiaj w tak zw. obzje socjalistycznym. Fakt ten posiada swą ponurą wymowę. Nie tylko zresztą polityczną.

Na 2 miliardy 378 milionów ludzi zamieszkujących nasz glob mamy 456 milionów katolików rzymskich. Otóż, po olbrzymich podbojach sowieckich, po niewąrogodnej wprost ekspansji bolszewickiej Rosji, po katastrofalnej ustępliwości świata zachodniego — 60 milionów katolików znalazło się w szponach komunizmu. To oni właśnie są w tej chwili przedmiotem najrozmaitszych „zabiegów” ze strony Kremla. To oni są tym Kościołem Milczenia, tak plastycznie przedstawionym przez Watykan na wystawie brukselskiej. To ich właśnie — przesławianych i często poddawanych nieludzkiemu torturowi — Kreml chce raz na zawsze oderwać od Rzymu. To oni właśnie mają stanowić w podbiitych krajach różnego rodzaju „kościół narodowy”, całkowicie uzależnione od czynników państwowych, bez zastrzeżeń służące interesom sowieckiego imperializmu.

Zagadnienie jest olbrzymie i zarazem ogromnie niepokojące. Moskwie bowiem udało się w każdym podbiitym kraju stworzyć rodzime ruchy „katolików postępujących”, działających w kierunku utratienia Sowietom ich zamierzeń.

Zwłaszcza w Polsce ci „katolicy postępowi” są wyjątkowo ruchliwi. Nie przebiegają oni w środkach, by stałe i systematycznie szyć w naród przekonanie o konieczności pogodzenia się z losem; raz po raz powtarzają, że Kościół w Polsce musi się dostosować do „socjalistycznej rzeczywistości”; raz po raz robią wypadki na Zachód, by demoralizować i okłamywać emigrację.

Nie mamy żadnych złudzeń. W równym stopniu reżymowi chodzi o moralne rozbrownienie emigracji, co o skruszenie oporu narodu. Chodzi mu o to, by głos emigracji raz na zawsze zamilkł. Wie on bowiem dobrze, że gdy na przykład Rada Trzech w swej depeszy kondolencyjnej do Watykanu podkreśla szczególne osierocenie Polaków, to wszyscy rozumieją, iż dotyczy to nie tylko Polaków na emigracji, lecz także — i przede wszystkim — Polaków w Kraju. Zdaje on sobie dobrze sprawę z tego, że każde wystąpienie emigracji, w każdej okoliczności, stanowi przypomnienie światu, że problem polski wciąż istnieje, że przed jej czy później musi być rozwiązany.

Dziś, wbrew barbarzyńskim metodom komunistycznego reżymu, naród nasz złożył hołd papięci wielkiego Papięza Piusa XII — za pośrednictwem Rady Trzech.

Stanisław PACZYŃSKI

KRYSTYN OSTROWSKI

O PRASIE KRAJOWEJ — DLA NAS ZAKAZANEJ

Londyn, w październiku

KTO z nas nie otrzymuje — lub nie otrzymywał — pięknie wydawanego w Warszawie pisma p.t. „7 dni”? Jest ono przeznaczone specjalnie dla nas. Redaktorzy jego wykazują dużą znajomość emigracji, a raczej znajomość psychiki polskiej, ukształtowanej w warunkach emigracyjnych, i... dużo zręczności. Pokazują nam Polskę z grubsza taką, jaką chcielibyśmy ją widzieć, a przynajmniej taką, na jaką — po tym wszystkim, co przeszła, i po tym wszystkim, co myśmy przeszli — bylibyśmy gotowi się zgodzić. Grają na naszej tęsknocie, na wyidealizowaniu dawno nie widzianej ojczyzny, a nawet potrafią ją ukazywać przez pryzmat teocy, czego myślnie się na Zachodzie nauczyli i co chcielibyśmy widzieć zastosowane w Polsce. Cały zaś komunizm — to ma być tylko zewnętrzny pokost, pozostawiony w granicach konieczności, jakże pomoc nieistotny. To jest nam do wierzania podawane — i niejeden, niestety, w to początkowo uwierzył. Dobra, fachowo robiona propaganda.

Kto jednak samodzielnie myśli i sięgnie do prasy społecznej lub wydanej w większych ośrodkach, ten łatwo się przekona, że ta sielanka naprawdę inaczej wygląda — komunizm trwa, indydy się i wygłupia, ale przede wszystkim ogłupia czytelnika nadal, ortodoksyjnie i bezwzględnie, w myślnieomyjnych wskazań marksizmu-leninizmu. Tylko stalinizm pono zniknął, ale konia z rzędem temu, kto się w tych różnicach wyna.

Dalej — prasa „katolicka”: paxowska i nie-paxowska. Dla mnie jest ona najbardziej deprymująca. Czytając ją od wielu lat, do dziś dnia nie wiem, kiedy pisze katolik wystraszone i zakneblowany, starannie wymijający się, by się zbytnio nie narazić, a kie-

dy komunista udający katolika. W rezultacie wychodzi to samo. Z rzadka tylko jakaś odważna wypowiedź, szybko następnie tuszowana.

Prasa brukowa razi nas swą wulgarnością. Czy naprawdę odpowiada ona masom czytelnicy?

Dokończenie na str. 2ej

BONN-WARSZAWA-MOSKWA

BERLIN przeżywał przez pięć dni zdanie stolicy Niemiec. Do Berlina zjechał cały Bundestag, rząd federalny oraz fala dygnitarzy i urzędników bońskich. Dziennikarze pedzili z jednej konferencji prasowej na drugą. Najtrafniej określił parlamentarną demonstrację w Berlinie korespondent londyńskiego „Timesa”, nazywając gościnnie występ boński nad Szprewą „celebrowaniem smutnego rytuału ponownego uznania Berlina jako prawdziwej stolicy Niemiec” i porównując posiedzenia parlamentu w audytorium uniwersyteckim ze „szlachetną impotencją studenckiego zebrania protestacyjnego”. W rzeczywistości sprowadzają się uchwały i rezolucje powzięte przez parlament w sprawie zjednoczenia Niemiec do jeszcze jednego, mało emocjonującego protestu. Zjednoczenia Niemiec pozostaje nadal nieosiągalną fatą morgana.

Jedną sprawą, która miała być rozpatrywana na posiedzeniu berlińskim bońskiej rady ministrów i komisji spraw zagranicznych parlamentu i która mogła była nadać wystąpieniom berlińskim charakter bardziej realny, był problem stosunków dyplomatycznych NRF z Polską i innymi krajami wschodnio-europejskimi. Ale sprawa ta została w ostatniej chwili zdjeta z porządku obrad i przekazana do późniejszego rozpatrzenia w Bonn.

Do jakiego stopnia problem ten stał się sprawdzianem niemieckich intencji w stosunku do krajów wschodniej Europy, o tym może świadczyć fakt, że sprawa ta górowała wśród zagadnień poruszanych przez dziennikarzy zagranicznych i krajowych na licznych konferencjach prasowych z kanceliarzem Adenauerem, min. Brentano, prezesem partii socjal-demokratycznej Ollenhauerem i innymi. Wnioski wpływające z tego, co kanclerz i minister spraw zagranicznych w tej sprawie mieli do powiedzenia wzgl. na co dawali odpowiedzi wymijające, nie uprawniają nas do optymistycznej oceny przyszłości stosunków polsko-niemieckich. Dr Adenauer powiedział niedwuznacznie, że klucz do otwarcia drzwi do stosunków dyplomatycznych z państwami satelickimi znajduje się w Bonn i w Moskwie, a nie w Warszawie. Korespondent londyńskiego „Zycia” w Berlinie zapytał min. Brentano, czy zgadza się z poglądem, że dwa lata temu sprawa normalizacji stosunków z Warszawą była rozpatrywana przede wszystkim pod kątem odwilży w Polsce i w innych krajach wschodnio-europejskich, kiedy obecnie miarodajnym dla rozumowania niemieckiego wyjątkiem jest jedynie skutki, jakie normalizacja stosunków z Polską mogłaby spowodować dla stosunków z Moskwą?

Dokończenie na str. 3ej

W. J. G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

WITOLD ZAHORSKI

KROCZĄC NAPRZÓD...

Z podziwu godną konsekwencją następują po sobie i uzupełniają się wzajemnie akty i posunięcia polityczne premiera Francji, gen. de Gaulle'a. Referendum z dn. 28 września było jego osobistym triumfem i zwycięstwem nakreślonego przez niego programu. Przyntożono Francji nowy ład ustrojowy, wróżący pomnożoną siłę wewnętrzną i ujawniły spoiście imperium rozrzuconego za tyłu morzami.

Szczególniej uderzającym i ważkim był wynik głosowania w Algierze — zarówno ze względu na masowy udział ludności, jak i na wysoki odsetek głosów afirmatywnych. Toteż szef rządu uznał ten stan rzeczy za korzystny punkt wyjścia dla dalszych posunięć i niezwłocznie zareagował odpowiednio.

W dniu 3 października gen. de Gaulle wygłosił w Constantine, w Algierze, przemówienie, które przejdzie do historii jako zapowiedź i zarys dalekościennego programu. Program ten ma za zadanie głęboko przekształcić „ten kraj tak męzny, tak zwycięski ale także tak trudny, tak cierpiący”. Ma on znaczyć, że warunki bytowania będą się ustawicznie dla wszystkich poprawiać, że cały Alger będzie korzystał z tego, ce cywilizacja dzisiejsza przynosi człowiekowi w zakresie dobrobytu i godności. Korzystając z przydzielonych mu pełnomocnictw rząd obecny postanowił, że w przeciągu pięciu lat najbliższych młodzi ludzie, przyjmowani do aparatu państwowego w metropolii w działach administracji, sądownictwa, armii, oświaty itd., w dziesięciu co najmniej procentach będą pochodzili spośród Arabów, Kabilów i Mozabitów, nie umniejszając przez to szerszego udziału Algierczyków w urzędach Algeru.

W tym samym czasie uposażenia i zarobki w Algierze zostaną zbliżone do poziomu obowiązującego w metropolii. Przed upływem pięciu lat 250.000 hektarów nowych ziem uprawnych będzie przyznanych rolnikom mużumanom. Wykorzystanie bogactw naturalnych i inwestycje przemysłowe na wielką skalę pozwolą na stałe zatrudnienie dodatkowo 400.000 osób. W tym samym czasie także zupełna powszechność nauczania będzie osiągnięta. „To przekształcenie, to dzieło ogromne politycznie, ekonomiczne, społeczne i kulturalne... powiedział gen. de Gaulle — „któż inny mógłby go dokonać, jeśli nie Francja? Właśnie tak się składa, że pragnie ona tego dokonać i ma po temu środki. Stało się także, że głosowaniem swoim Algierczycy wykazali nie tylko jak bardzo tych przeobrażeń pragną, ale stwierdzili zarazem, że pragną, aby były dokonane z Francją”.

Podkreślając ten stan rzeczy, premier Francji uchylił się od precyzowania politycznego statusu Algeru w przyszłości. Uznał on za „zupełnie zbędne, aby zasklepić w słowach to, co tylko hieq poczynać może stopniowo zarysować”.

W każdym razie, przyszłość Algeru będzie zbudowana na podwójnej podstawie: jego odrębnej osobowości i jego ścisłej solidarności z francuską metropolią, bo wynika to z natury rzeczy. Uchylając się w ten sposób od przesądzenia przyszłego układu stosunków i pozostawiając sobie szerokie możliwości wyboru, gen. de Gaulle postąpił najstuszej. Przemówienie swoje zakończył na apelem do tych, którzy przeciągają walkę bratobójczą mimo że jest ona zupełnie beznadziejna. Państwom zaś, „które dolewają oliwy do ognia podczas gdy ich narody obolałe ledwie dyszą w pęczach dyktatury”, oświadczył, że skoro nie mogą zastąpić Francji, winny jej dać możliwość pracować w spokoju.

Dla tubylców posiadłości francuskich w Afryce i Azji pojednawczy i wysocy liberalny program gen. de Gaulle'a nie mógł być czymś nowym. Potwierdzeniem szczeroci zamyślenia rządu stał się bowiem epizod dotyczący Gwinei. Kolonia ta, jako jedyny w swoim rodzaju wyjątek, głosując w referendum przyłączającą się większością wypowiedziała się negatywnie. Dla terytoriów zamorskich było to góry zapowiedziane przez rząd, że tego rodzaju głosowanie oznaczać będzie odrzucenie nie tylko konstytucji, ale i związków z Francją. W wypadku Gwinei wynik głosowania w referendum został uznany bez żadnych szyskan i targów za wyraz woli niepodległości i rząd gen. de Gaulle swoimi zarządzeniami umożliwił niezwłoczne proklamowanie tej niepodległości. Krok ten mógł nie być, pomimo wagi oświadczeń generała, składanych w Constantine — lub w innych miastach Algeru.

W kilka dni później, w dniu 5 października, nastąpiło ogłoszenie zatwierdzonej przez referendum nowej konstytucji i tym samym wejście jej w życie. Pociągło to za sobą dekretywanie przez rząd zmienionej ordynacji wyborczej i kalendarza wyborczego. Od Wielkiej Rewolucji, poprzez cały wiek dziewiętnasty i aż po dni nasze Francja wielokrotnie zmieniała swoją konstytucję, a jeszcze częściej swoją ordynację wyborczą. Można z grubsza powiedzieć, że odbywało się raz po raz oscylowanie pomiędzy trybem głosowania na kandydatów indywidualnie, a systemem głosowania na listy partyjne. Doświadczenie wykazało, że tryb pierwszy utrudnia zwycięstwo wyborcze politycznych ruchów masowych, podczas gdy system list wyraźnie je

uprzywilejowuje. Gdy w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia zagroziła Trzeciej Republice popularność gen. Boulanger, pospiesznie wprowadzono okręgi jednomandatowe.

Dziś nowa ordynacja wyborcza, zatwierdzona przez rząd gen. de Gaulle'a, ustala ten sam tryb. Jest to z pewnością niekorzystne dla partii komunistycznej, której trudno będzie uzyskać większość bezwzględną w okręgu, a niechęć do współdziałania z nią uniemożliwia porozumienie z innymi partiami przy decydującym zazwyczaj głosowaniu powtórny. Ale względy podobnej natury sprawiają, że masowy ruch M.R.P. może być również poszkodowany. Dla chrześcijańskiej demokracji, wobec jej społecznego radykalizmu, sojusze wyborcze z prawicą są trudne. Od lewicy zaś odsuwa ją stosunek do szkoły wyznaniowej.

Kalendarz wyborczy, zatwierdzony jednocześnie z ordynacją, ustala na 23 i 30 listopada pierwsze i drugie głosowanie w wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Tytułem wyjątku Algierczycy głosować będą w dniu 23 listopada na listy raz jeden, bo ordynacja wyborcza wymaga, aby dwie trzecie mandatów przypadły mużumanom, a przy trybie okręgów jednomandatowych zapewnienie takiej proporcji byłoby niemożliwe.

W związku z tymi zarządzeniami gen. de Gaulle dokonał dalszego kroku o nie małym znaczeniu, przesyłając w dniu 9 bm. instrukcje dotyczące wyborów w Algierze. W liście do gen. Salana stwierdza szef rządu, że „interesy wyższe państwa wymagają, aby wybory odbyły się w warunkach absolutnej swobody i szczeroci i aby listy reprezentatywne wszystkich tendencji — mówię wszystkich tendencji — mogły ubiegać się jednakowo — i na tych samych zasadach — o głosy wyborców”. Załączona do listu instrukcja precyzuje jeszcze ten punkt i poleca jego dokładne wykonanie włądcom odpowiedzialnym. Urzędnicy i wojskowi służby czynnej nie są upoważnieni do stawiania swoich kandydatów. W sposób dla zainteresowanych ponoć dosyć nieoczekiwany — gen. de Gaulle stwierdza w instrukcji, że „przyszła chwila... gdy wojskowi winni wycofać się z udziału w organizacjach mających charakter polityczny, jakiekolwiek by były powody, które w okolicznościach panujących w Algierze od miesięcy mają mogły wyjątkowo uzasadniać ten udział. Obecnie nie już nie mogłyby usprawiedliwiać ich przynależności do takich organizacji. Zarządzam, aby wycofali się z nich niezwłocznie”.

Wojskowi wszystkich stopni na terenie Algeru rozkaz natychmiast wykonali. Wśród polityków miejscowych pierwsze reakcje na nowy krok gen. de Gaulle'a były często ujemne i nawet gwałtowne. Przyniosł on natomiast szefowi rządu Francji wiele uznania ze strony opinii szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Śmiałości, wagi i celowości realizowanego krok po kroku programu w stosunku do Algeru trudno było nie doceniać. Jeśli uwienczony zostanie powodzeniem, stanowiąc będzie precedens o nie małym znaczeniu dla całego wolnego świata.

W. J. G.

W obliczu Konklawe

Rzym, w październiku ZAMKNĄ się jeszcze jeden okres w dziejach Kościoła: pontyfikat Piusa XII. Prawo śmierci. Dnia 25 października rozpocznie się konklawe, aby wybrać jego następcę. Prawo życia.

Konklawe, które wybrało w 1939 roku kardynała Eugeniusza Pacelli, powołując go na tron papieski, było niewątpliwie najkrótsze w dziejach państwa watykańskiego: trwało ono zaledwie jeden dzień. Sytuacja była względnie łatwa: Eugeniusz Pacelli został wskazanym wyrażnie przez swego poprzednika. Dziś sytuacja jest zupełnie inna. I dlatego — mimo licznych przewidywań — najbliższe konklawe może się skończyć niespodzianką.

Kolegium Kardynalskie składa się obecnie z 54 kardynałów. Wąkujących jest więc sześćdziesiąć kapeluszy. Grupa włoska znajduje się w mniejszości; Włochów jest 17-tu. Francuzów jest sześciu, jeden Belg, dwóch Niemców, trzech Hiszpanów, dwóch Portugalczyków, trzech ze Stanów Zjednoczonych, dwóch z Kanady, dziewięciu z Ameryki Południowej (w tym dwóch Argentyńczyków, czterech Brazylijczyków,

po jednym z Kolumbii, Kuby i Ekwadoru), jeden Australijczyk, jeden Polak, jeden Węgier, jeden Jugosłowianin, jeden Armienecyk, jeden Chinczyk, jeden Hindus i jeden Syryjczyk. Wiadomo już jest, że ks. kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski, weźmie udział w konklawe. Niemal pewne jest natomiast, że ani kardynał Stepinac, ani kardynał Mindszenty z wiadomych powodów nie przybędą do Rzymu.

Z obowiązku dziennikarskiego notujemy uzyskaną poufnie wiadomość, jakoby reżym Kadara proponował pośrednio kardynałowi Mindszenty'emu wyjazd na konklawe, ale... bez prawa powrotu na Węgry. Jest to zupełnie prawdopodobne.

W każdym wypadku grupa kardynałów nie-Włochów jest w zdecydowanej większości; nie znaczy to oczywiście, że papieżem zostanie cudzoziemiec.

Na temat ten krąży w Rzymie liczne przewidywania, niektóre z nich nawet oparte na różnych przepowiedniach.

Najbardziej znaną i rozpowszechnio-

ną jest przepowiednia św. Malachiasza. Opielając się na niej — należałoby wskazać jako przyszłego papieża kardynała — Armeniecyka, Prziogórca Piotra XV Agagianara, patriarchę Cylicji, pro-sekretarza Kongregacji „Propaganda Fide”; urodzony on jest w Akhalktzikhe, w Armenii, 18 września 1895 roku; jest kardynałem od 1946 roku.

Zatrzymajmy się nad przepowiednią św. Malachiasza, jako nad ciekawostką. Sw. Malachiasz, urodzony w 1094 roku, biskup Armagh w Irlandii, zmarły w Down w 1148 roku, pozostał po sobie przepowiednię dotyczącą 112-u papieży od siebie współczesnego Celestyna II po ostatniego „przed końcem świata” Piotra II. Wg tej przepowiedni, ogłoszonej po raz pierwszy w 1595 roku przez benedyktyną Arnolda Wion, po obecnie zmarłym papieżu będzie ich jeszcze sześciu, a potem nastąpi „koniec świata”, a może tylko koniec Rzymu, gdyż na okres pontyfikatu Piotra II-go św. Malachiasz przewidywał liczne nieszcześcia i zagładę kompletną Rzymu.

Przepowiednia nie nazywa na ogół papieży po imieniu, a określa ich symbolicznymi imionami. I tak, z papieży ostatnich — Pius IX nazwany jest „Krzyżem w krzyżu”; na ten okres przypadają starcia między państwem kościelnym, a włoskim Risorgimento. Leon XIII, to „Światło w niebie”; papież ten miał w swym herbie komętę na niebieskim tle. „Ogień płonący”, to Pius X; miał on w herbie płonącą pochodnię. „Religia wydłudniona”, to określenie Benedykta XIV, którego pontyfikat przypadł na pierwszą wojnę światową. „Wiara nieustraszona”, to Pius XI. I wreszcie „Pasterz pokoju”, czyli Pius XII.

Choć Kościół ze względu na zrominalnych nigdy nie wyprzedził się ani o tej, ani o innych przepowiedniach, jest rzeczą ciekawą, że tytuł „Pastor Angelicus” stosowany był za życia Piusa XII i po jego śmierci nadal przez oficjalny organ Stolicy Apostolskiej, „Osservatore Romano”.

Posługując się nadal przepowiednią omawianą tutaj, dochodzimy do następcy Piusa XII — ma to być „Pastor et nauta” — „Pasterz i żeglarz”. I tutaj wskazuje się, że kardynał Agagianian ma w swym herbie baranka, symbol pasterstwa, i kotwicę zanurzoną w morzu, symbol żeglarstwa; a więc... Ale lepiej zacaknąć na wyniki konklawe. W Rzymie mówi się, że kto na konklawe wchodzi w charakterze kandydata na papieża, wychodzi zeń... kardynałem. Zobaczymy. W każdym razie podobno kardynał Agagianian ma za sobą jeszcze jeden „argument”: św. Pius X, gdy widział Agagianiana jeszcze jako małego chłopca, miał mu przepowiedzieć, że zostanie on księdzem, potem biskupem i kardynałem, a potem papieżem. Na razie — do kardynalstwa — wszystko się sprawdziło.

Przechodząc od dziennikarskich ciekawostek — przepowiedni do rzeczywistości, trzeba dodać, że wybierać papieża mogą tylko kardynałowie, ale wybranym nie musi być członek kolegium kardynalskiego. Więcej — teoretycznie wybranym może być nawet nie biskup i nie ksiądz. W tym ostatnim wypadku — jak przewiduje paragraf 107 Konstytucji Apostolskiej z dnia 8 grudnia 1945 roku — musiałaby mieć miejsce konsekracja wybranego, dokonana przez diakona Świętego Kolegium.

Historia dokumentuje, że większość wybranych papieży była w wieku od 60 do 70 lat. Na ogół konklawe są przeciwnikami kandydatów na zbyt długi czy zbyt krótki pontyfikat, ze względu na wiek.

Nie mówimy tu o rażących przykładach, kiedy to w 955 roku został wybrany Jan XII w wieku 18 lat, czy w 1032 roku nowoobрани Benedykt IX miał zaledwie lat 12.

W ciągu ostatnich dwóch stuleci nie notuje się wypadku, aby wybrany został papież w wieku ponad 70 lat.

Nie ulega kwestii, że i na najbliższym konklawe nie poślednim czynnikiem decydującym będzie wiek przyszłego papieża.

Niemal wszystkie konklawe odbywały się w Rzymie, poza okresem „niewoli awignońskiej” papieży i poza kilkoma innymi wyjątkami, kiedy to siedzibami konklawe były wioski miasta Terracina (w roku 1006), Velletri (1181), Verona (1185), Ferrara (1187), Piza (1187), Perugia (1216, 1285, 1294, 1305), Neapol (1254 i 1294), Arezzo (1276), Viterbo (1277 i 1281), wreszcie Wenecja (w 1800 roku).

Jan XXII, Benedykt XII, Klemens VI, Inocenty VII, Urban V, Grzegorz XII i Kalikst III wybrani byli, jak już wspomnieliśmy wyżej, „w niewoli babilońskiej Kościoła” — we Francji.

Gdy konklawe odbywały się w Rzymie, miały one miejsce zazwyczaj w Watykanie; jedynie pięciu papieży: Urban VIII, Leon XII, Pius VIII, Grzegorz XVI i Pius IX, wyszły z konklawe odbytych w pałacu kirynalskim, dawniej siedzibie papieży, późniejszej — królów włoskich, a obecnie prezydenta Republiki Włoskiej.

Większość konklawe trwała kilka tygodni. Ale były i wyjątki I tak, konklawe, z których wyszli papieżami Celestyn V w 1294 roku i Jan XXII w 1316 — trwały po 27 miesięcy; po 11 miesiącach obrad wybrany został Klemens V w 1305 roku. Siedem miesięcy i pięć dni wybierano w 1277 roku Mikołaja III-go. Ponad dwadzieścia konklawe trwało od przeszło miesiąca do czterech miesięcy. Jak więc widzimy — ostatnie konklawe z 1939 roku, jednodniowe, było naprawdę wyjątkowe.

« ODBUDOWA » WSI

WARSZAWSKI „Dziennik Ludowy” (nr 208) informuje, że w okresie pierwszych sześciu miesięcy br. chłopci gospodarujący indywidualnie otrzymali

Mazurek i Marsylianka

On druh był dobry, kompan szczery, I jej się dobrze też z nim żyło: Na polach Lipska, Samosierry Wzajemną byli świadczali miłość.

Jego ulański cud-amarant Przybrała w liście lauru z wianka: Dobrawa była bardzo para Mazurek — piękna Marsylianka.

Miłość potwierdzał, miłość głosił Pieczęcią krwi i słów przysięga, Do menuetu on ją prosił Na szarych polach pod Marengo.

On zabijał niepowśzedni, Ona dogonna mu kochanka, Spod Moskwy szli zziębnięci, biedni Mazurek — smutna Marsylianka.

Gdy przyszedł czas, że chmura szara Napoleońskie skryła słońce, On kiem okrył swój amarant I smutny ronił tzy gorące.

Leć losem rządzi Boska wola: Spotkali się złotego ranka... I znow na Francji zabrzmiał polach Mazurek — piękna Marsylianka.

Chwila cudowna, chwila święta, On znow kochankę widzi szczerą, Jeszcze całusy jej pamięta Spod Drezna, Lipska, Samosierry.

Nadejdzie czas, że wrogów gestwa Pierzchnie złotego kiedys ranka. Wtedy, hymn szczęścia, hymn zwycięstwa, Zabrzmii Mazurek — Marsylianka.

JAN WIĄCZEK

Wrocław, sierpień 1958.

O prasie krajowej — dla nas zakazanej

Dokończenie ze str. 1-ej Natomiast nieraz imponują szatą zewnętrzną liczne wydawnictwa artystyczne, naukowe, fachowe: jesteśmy z tego dumni. Z literackimi jest gorzej. Ale tamte, pięknie wydane, świadczą o tym, że tam gdzie swobodnie można się poruszać, duch i talent Polaków mimo wszystko rozwija się, tworzy i trwa. Na oczywiście raźni obecny prowincjonalizm i zacofanie w stosunku do Zachodu, ale czuć wysiłek, talent, rozmach twórczy i podskórny bunt, który nie może się ujawniać.

Te wszystkie rodzaje prasy krajowej znamy. Są one nam dostępne. Możemy je kupować i prenumerować. Zresztą zabronić byłoby trudno, gdy się głosi, że nie ma cenzury pocztowej, a więc tym bardziej nie może być być dla własnych pism (bo wszystkie są własne, państwowo-ludowe), i że tak bardzo chodzi o wymianę, a nawet współpracę kulturalną, gospodarczą, a bodaj że polityczną z emigracją.

Istnieje jednak w Polsce inna jeszcze prasa, o której mało się wie, a która jest dla nas zupełnie niedostępna. Jest to prasa lokalna, prowincjonalna. Są to czasopisma wydawane w małych ośrodkach, w miasteczkach zabitych od świata deskami, przeznaczona dla czytelników miejscowych, przeważnie jednego powiatu. Czyżby ta nasza nieznanostwo była przypadkową lub też była rezultatem małego zainteresowania sprawami jakiejś zapadłej prowincji? Bynajmniej. Istnieje po prostu zakaz wysyłania tych wydawnictw za granicę. Zupełnie świadomy i zapewne dobrze przemysłany zakaz. Nam na Zachodzie z trudnością to się może w głowie pomieścić, tym bardziej po tym wszystkim, co miało miejsce po „październiku”. Niemniej tak jest. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

MIEDZY Siedlcami a Bugiem, na Podlasiu, wykopano, a raczej przywrócono dawny powiat Łosicka. W Łosicach istnieje więc, oczywiście, tak zw. „Front Narodowy”. A że „Front Narodowy” poczuwa się do prawa i

obowiązku rządu dusz, przeto wydaje własne pismo p.t. „Ziemia Łosicka”. Pismo przedstawia się wcale dobrze, jest umiejętnie redagowane, i poza górną propagandą komunistyczną, która czytelnika tamtejszego może irytować, a której redaktor na pewno się wstydił, porusza wiele spraw o charakterze miejscowym, przeważnie praktycznym, istotnym w każdym warunkach politycznych i w każdym czasie.

Jest tam oczywiście też trochę zakłamania. Np. w jednym z numerów umieszczono fotografię pięknej szkoły powszechnej... jako przykład tamtejszych osiągnięć Polski „ludowej”. Musiało to wywołać wesołość miejscowych czytelników, którzy dobrze wiedzą, że szkoła ta była wybudowana na kilka lat przed wojną — prywatnym staraniem i ofiarnością.

Na ogół jednak pismo miejscowe w sprawach miejscowych zbyt kłamać nie może. Zbyt są one każdemu znane. Bujanie nic by nie dało. Dlatego pisma takie, jak „Ziemia Łosicka”, są bardziej prawdziwe i w tym sensie lepsze, niż ta prasa, którą nam wolno czytać. Dają one prawdziwy obraz polskiej rzeczywistości. Zapewne więc dlatego są dla nas zakazane.

Ziemia Łosicka — to moje strony rodzinne. Znam tam każdą drogę i miedzę, każdą włoskę i ludzi tamtejszych. Toteż czytam każdy numer tego pisma z tęsknotą i wzruszeniem. Dobry ludzie w Polsce to rozumieją i przysyłały mi poszczególne numery, nieraz z paru stron równocześnie. Nie mam jednak kompletu, zwłaszcza ostatnich numerów. Chcąc przyjacielom trochę oszczędzić starałem się pismo to zaprenumerować. Napisałem do wydawnictwa w Łosicach raz i drugi. Potem już listem poleconym, wreszcie za pokwitowaniem zwrotnym. Ciągłe bezskuteczność i bez odpowiedzi. Cisza. Nawet walut za prenumeratę nie chcą! Wreszcie wzrociłem się do jednej z księgarni londyńskich, która się tym parą, by mi to załatwiła. Otrzymałem wręcz odpowiedź, że prasy prowincjonalnej nie wolno za granicę wysyłać. Sprawa stała się jasną. Ale jakie to wszystko naiwne i głupie. Przecież nie

ma już jakoby cenzury pocztowej; więc i tak, jeżeli będę chciał, pismo będę otrzymywał. Ale teraz już wiem, że w ziemi Łosickiej dzieją się rzeczy, które mają być ukrywane wstydliwie. Tym bardziej pragnę je spenetrować. Gdyby sprawę załatwili po ludzku, byłoby to z wzajemną korzyścią. Ja bym zapożyczył nie tylko ciekawość, ale przede wszystkim tęsknotę. A im mogłoby poradzić, by nie robili głupstw.

Wybudowali np. w miejscowości Józefia kołchoz z nowoczesnymi budynkami mieszkalnymi i elektrycznością. Zapomniano tylko o... wodzie. Teraz w jednym z numerów dźwiży się, że stara studnia daje jej bardzo mało. Otóż — jak się okazuje — komunistyczny planiści nie wiedzieli, że przedwojenne wiercenia studni artezyjskich nie dały rezultatu — wody nie było. Dlatego teren ten już dobrze przed wojną był przeznaczony na zaliesienie. A teraz w kosztownym kołchozie ludzie się męczą i muszą się prawie bez wody obywać!

Mój wypadek nie jest odosobniony. Każdy, kogo tęsknota skłoni, by się starał czytać pisma wydawane w jego stronach rodzinnych — natkie się na takie same idiotyzmy komunistyczne. Radzę jednak spróbować. Może jednak zmądrzeją. Może nawet przyznają się do tego ten artykuł.

Radzę więc każdemu, kto się interesuje jakimś mniejszym ośrodkiem prowincjonalnym, z którym jest związany węzami urodzenia, rodzinnym lub jakimś innym sentymentem, by się dowiedział, jakie pismo tam wychodzi i to pismo postarał się zaabonować lub w inny sposób dostawać. Znajdzie tam wiele szczegółów, może dla innych osób bliższych i niezrozumiałych, ale które będzie czytał — jak ja — ze wzruszeniem, a może i łzą w oku. I jeżeli każdy na swym małym odcinku to zrobi, będziemy mieli obraz pełny tego, co się tam dzieje — jak Polska długa i szeroka. Dopiero wtedy. A może się okaże, że tyle rzeczy tajemniczych jest do ukrywania tylko w mojej, biednej, kochanej ziemi Łosickiej, na Podlasiu...

Krystyn Ostrowski

Witold Zahorski

IRENA GAŁĘZOWSKA

NORWID — POETA MYŚLICIEL

„PISZĘ pamiętnik artysty, o gryzmołony i w siebie pochylon, obłądny — alez wielce rzeczywisty” — powiedział Norwid, określając w ten sposób, w najlepszy, najoczywistszy sposób, swoje dzieło, swą poezję i swą prozę, tryskające ze szczerego, niczym niezamąconego źródła — jego myśli. Dzieło to jest pamiętnikiem jego myśli. Norwid bowiem jest poetą-myślicielem. Źródło tej myśli nie zamącone pycha, ani pozą, ani kompromisem, nie jest również zamącone szukaniem literackich efektów, bałwochwalstwem czyste formy, bez względu na treść.

„Poezja — pisał do Bronisława Zaleskiego 15 maja 1869 — która zapomina o tym, że ona coś robić powinna — zapomina przez to samo o zdrowej estetyce. Ja takiej poezji nie rozumiem dla tego samego, dla czego bardzo piękna kobieta w Chinach nie może ruszyć się z miejsca, bo ma otyłe formy, i nie może nic ręką dotknąć, bo ma jej kształty zepsowane konserwacją palców i bałwochwalstwem paznokci. Ale Nausika, córka królewska u Homera, dlatego jest taka piękna, iż do rzeki chodzi prac bieliznę!... Nie pozwalałam zrobić bałwanika z Poezji i potem drzeć, czy się nie obali?... Jest pewna proporcja użyteczności, która jest warunkiem piękna... Pojęcie to moje jest zarówno Chrześcijańskie jak prawdziwie estetyczne”. — A do Marii Trębackiej napisał już przed laty: „Pisać można tylko procent od życia i czynów”.

A przecież Norwid był rzetelnym, wielkim poetą. Każda jego strofa, nie tylko z tych skończonych i „jawnych”, które przeszły już do klasycznej antologii poezji polskiej, ale i z tych wyglądających dziwnie, z tych pogmatwanych, „ogryzmołonych”, niejasnych — jest z tego specyficznego, drogocennego materiału, z którego powstaje wielka poezja. Połamanie formy — to często, może zawsze, wina treści rozrywającej kształt zewnętrzny, szukającej ujścia-wyrazu, ale nie zawsze skończonego i jasnego, o jaki Norwid wcale się nie kusił, o jaki bynajmniej się nie starał.

„Szukał tylko wyrazu odpowiedniego dla treści, czyli dla myśli. Nie natchnienie w formie poetyckiej egzaltacji ożywiało go gdy pisał, lecz myśl, którą wyrazić chciał sumieniem, w przepracowaniu najgłębszych natchnień ducha, nazwanego przezeń po prostu i wyraźnie: Duchem Świętym.

Pamiętnik jego dzieła — „ogryzmołony” — szukaniem wyrazu absolutnie zgodnego z treścią — jest rzeczywisty, to jest bezwzględnie szczerzy i prawdziwy. W tym może właśnie leży jego niewysłowione piękno.

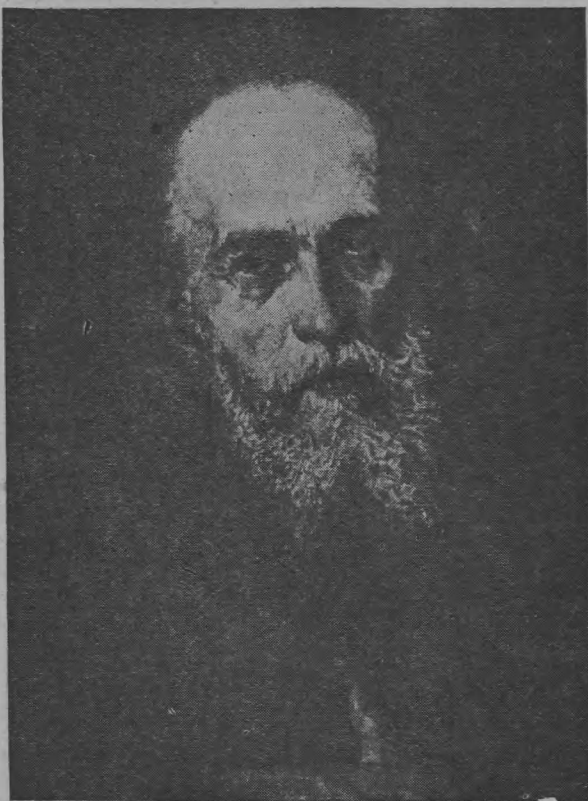
Rzeczywisty w uszanowaniu dla najwyższego źródła ducha, z którego bierze początek. Nie na żarty mówił w 3-ciej lekcji o Słowackim: „z karafki napić się można uściskawszy ją za szyjkę i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije musi ukleknąć i pochylić czoło”.

Rzeczywisty w wierności swej treści, treści dzieła i życia, treści, która — rzecz jasna — wyrażać się może tylko w myśli. Ogarniając całość jego olbrzymiego dzieła, a w nim słoty ułamek, nie można oprzeć się wrażeniu, że jednak, jak mówili pewni krytycy i jak sam Norwid mówił o swych pieśniach „pobitych jak starych urn dzika mogiła” — że jednak to są ruiny. Ale natchmiast nasuwa się korektywa. To nie jest rozpadająca się konstrukcja przeszłości, ani romantyczna dekoracja, to jest bogactwo materiałów świetnych, nabrzmiałych myślą —

„jedną i skrzydlatą” Trzeba je tylko złożyć duchem.

W tym ogromnym zawiłym gąszczu norwidowego dzieła najłatwiej torować sobie drogę za pomocą motywów, które przewijają się przezeń, chwila, chwila, to znów rozwijają się szeroko, przestrzennie, czasem niedopowiedziane, czasem wkuwane jakby młotem — ku wiecznej pamięci. Z motywów tych wyłania się całość, nie powiem doktryny, ani teorii — całość wewnętrznego przekonania, myśli-przewodnej. Ogarnia ona wiele zagadnień, zatacza kręgi szerokie, podgląda tajemnice rzeczy i ludzi — o jakich się wielu filozofom z zawodu nie śniło.

Norwid filozofem z zawodu



Portret poety malowany w Paryżu w 1882 roku przez polskiego artystę Szynclera.

nie był, ani na chwilę. Gdy mówi o Hoene Wronskim jako o „największym mędrku jaki był w tym wieku” — nie zdaje sobie sprawy z przepaści, jaka z nim go dzieli; gdy mówi o filozofach niemieckich — że doszli do rzeczy, „do których inną drogą dojść także można” — nie wyobraża sobie nawet, jak dalece odmienne są rzeczy, do których jego droga prowadzi. Są to zwykłe wyrazy uszanowania dla myśli cudzej. Sam od siebie zaleca (w liście do Augusta Cieszkowskiego z 3 marca 1871) „w kształceniu się dwie główne specjalności: Homera i Biblię”. Nie ma więc mowy o wykładzie jakiegoś systemu filozoficznego norwidowskiego: chodzi tylko o skreślenie zarysów, psychologicznych ram, w jakich ta myśl poety rozwijała się, wzrastała i rozkwitała.

GDYBY można spojrzeć z wyżyny pozaprzestraszanej, choć nie pozaprzestraszanej, na życie człowieka, wyglądałoby ono jak mapa jakieś krainy, określonej granicami, wypełnionej symboliką faktów-czynów, wyrosłych na podłożu uczuć i wyobrażeń. Norwid nie rozwinął nigdy tej myśli — rzucił ją tylko. Ale do niej właśnie sprowadzić można, w formie symbolu rzecz jasna, to, co można by — nieudolnie — nazwać jego teorią filozoficzną.

Każde zienie jest kartą historii, przeniesioną na plan jakby geograficznego zarysu. Każde wyraża jakąś rzeczywistość, jakąś immanentną konieczność, a to dlatego, że każde, na swój odrębny sposób, wypowiada prawdę. Prawdę, która „jedna jest — w ziarnku piasku i w obrocie słońca, na skros byłów”.

Każdy człowiek przychodzi na świat, aby dać świadectwo prawdzie. „Morituri te salutant — veritas”, było ogólną dewizą norwidowej poezji. Całe życie borykał się on z tym, co dla niego było fałszem. Rzetelnie, nieustraszenie, sięgał do dna własnej — jak mówi — „przymiotności”, to jest świadomości, szukając w niej odbicia wiekistej prawdy.

Pismo dla niego, to „*cuć wcielonego ducha, to opłatek, którym tumać się trzeba i od serca życzyć: Dosiego roku prawdy!*”. Pisał — jak mówi — nie atramentem, ale „*pracą ducha walczącego*”, gotów był strzelać się o każde sprofanowanie słów i uczuć.

Był przekonany, że wojny skończyłyby się z chwilą, gdy wróg stałby się zdolny rzec: to prawda.

Prawdy swej istoty musi każdy człowiek dorobić się, ale nie dość na tym, trzeba ją jeszcze „*obrobić i obronić i pierściami zastawić i pieczęć swą położyć jej na piersiach, bo jak się o to nie dba, to się przestaje dbać o czas swój, o życie, o pracę, o grzebień i kości — i z tego jest niewola*”.

Od chwili gdy wypracował w ten sposób pojęcie zgodne z wewnętrzną prawdą sumienia, Norwid — bez przysięgi, bez ślubów, na przekór wszystkiemu co mu dać mogło sukces, na przekór wszystkim swoim interesom — pozostał mu wierny. Tak było z jego pojęciem sztuki-pracy, ojczyzny-zbiorowego obowiązku, kwestii społecznej — rozwiązanej przez „*nieposiadanie się z Boga, nie z Proudona*”.

Prawdę tę swoją starał się wyrazić na piśmie: w biały ch tragediach — Krakusie, Wandzie, Zwolonie, Kleopatrze, w ar-

(Dokończenie na str. 2-giej)

CZESŁAW CHOWANIEC

PIERWSI ZA OCEANEM

(Karta z życia Wielkiej Emigracji)

7 końcem września br. odbyły się w Ameryce uroczystości dla upamiętnienia 5 Polaków, którzy 350 lat temu wylądowali na ziemi Washingtona i byli jakby pierwszymi pionierami polskimi naszego wielkiego wychodźstwa w Ameryce Północnej. W związku z tym pojawiły się w prasie artykuły o początkach historycznych tego wychodźstwa, które w początkach XX w. wyrosło na olbrzymią siłę narodową i gospodarczą, stało się jakby osobną dzielnicą Polski.

W literaturze naszej początki tej emigracji wiąże się powszechnie z połową XIX w. „Początek właściwej emigracji polskiej do Ameryki — pisał jeden z zasłużonych historyków tego zagadnienia, ks. Wacław Kruska — stanowił dopiero przybycie 300 górnośląskich rolników do Texas, którzy pod przewodnictwem księdza Leopolda Moczygemby, założyli tam przy końcu 1854 r. pierwszą osadę czysto polską — Pannę Marię”.

Z okazji obchodzonego dziś 350-lecia warto poruszyć fakt mało znany, że pierwszą myśl tego osadnictwa polskiego w Ameryce rzucili i usiłowali ją urzeczywistnić Polacy Wielkiej Emigracji, żołnierze powstania listopadowego.

Przypomnijmy sobie tę sprawę.

ZIMNĄ nocą 28 marca 1834 r., za winę do portu nowojorskiego dwie wojenne fregaty austriackie — „Hebe” i „Grewera”, napelnione osobliwym ładunkiem. Nie był to bowiem „żywy towar” niewolników, już nie tolerowany przez prawo międzynarodowe, niemniej jednak był to żywy ładunek, który pod flagą Jego Cesarskiej Mości i pod bagnietami przywoził z Triestu płk Bandiera celem wysadzenia na wolną ziemię Washingtona. Był to transport 235 Polaków. Rewolucjonistów — mówiła policja Metternicha. Emigrantów, którzy w państwie austriackim szukali azylu — mówiło prawo narodów. Żołnierze powstania listopadowego — gotowała historia.

Działo się to po wypadkach 1833 r., po nieudanej próbie Zaliwskiego wywołania nowego powstania, zduszono bezlitośnie przez cara i Austrię. Rząd wiedeński, po zlikwidowaniu sieci spiskowej, zmontowanej w Galicji przez emigracyjnych emisariuszy Lelewela, aresztował wtedy wiele setek uczestników powstania listopadowego, przebywających w zaborze austriackim, i pod pretekstem ułatwienia im drogi do Francji — najpierw internował w mieście Brünn, potem w cytadeli, wreszcie przetransportował ich w kajdanach do Triestu, wyprawił z końcem listopada 1833 r. do Stanów Zjednoczonych.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym niemal czasie i rząd pruski wyprawiał swoimi okrętami do Ameryki kilkuset polskich żołnierzy, którzy nie dali się skłonić ani perswazjom ani kaźnią do przyjęcia carskiej amnestii. Polakom z emigracji udało się przychwycić te pruskie transporty w portach angielskich i francuskich — i zatrzymać na kontynencie. Płk Bandiera, sprytniejszy od Prusaków, przeczornie ominął kontynent. Wypłynął z Triestu po drodze przez Malagę, a 70 dniach żeglugi do Gibraltaru, zduził tam próbę buntu, i 14.II.1834 r. ruszył dalej na ocean. Przez szereg dni „*statki nasze nurzały się ustawicznie w odmętach odkrywających się przepaści. Nieraz zdawało się, że okręt pruć grzbieciem swoim dno morskie, lub wyparty sprężystością teje siły pisał po wierchołku szczytnie wzniezionej wale*” — notował jeden z uczestników transportu. Po 6 tygodniach podróży, wśród niebezpieczeństw oceanu, pożaru i bagnietów

„*majtek siedzący na maszcie dla obserwacji krzyknął: „Terra”; dobito do brzegu Ameryki, zawinięto do portu w Nowym Jorku.*

„Dn. 2 kwietnia, po wypłaceniu każdemu z nas przez komendanta po 40 dolarów, na ląd wysiedliśmy i tu dopiero skończyło się roczne więzienie austriackie — pisał jeden z wygnañców — mnóstwo mieszkańców wyszło przypatrzeć się różnokształtnym kostiumom i najbardziej wasy nasze zwracały ich uwagę. W Kastele, tuż przy porcie będącym, wylądowaliśmy; obywatele tam obecni wyznaczyli miejsce tymczasowe na złożenie rzeczy naszych i zaprowadziwszy niektórych z nas do swych domów, w porządku zapatrzyli suknie. Wielu podostawało zaraz kapelusze aby nie śmieszyli chłopców ulicznych różnobarwnymi czapkami”.

Jak wspomnieliśmy, 235 osób liczyła ta gromada Polaków, wyrzuconych brutalnie na ląd Nowego Świata. Byli to w znacznej większości wojskowi z ostatniej wojny, oficerowie niższego stopnia, podoficerowie i żołnierze; lecz również znalazła się tam garstka cywilnych mężczyzn, kobiet i dzieci: nauczyciele, urzędnicy, lekarze i obywatele ziemscy, a nawet kilku księży.

Cała ta grupa, różnorodna pod względem stanu, zawodu i temperamentu, złączona była teraz nie tylko wspólnym cierpieniem i losem tułaczym, ale także silną wolą wytrwania. Pragnęli nie zagubić się w nieznanym świecie, lecz trzymać się razem na drodze swego nowego losu — polskiego pielgrzymstwa.

W tym duchu postępując postanawiając jeszcze na statkach zorganizować się jako całość — zanim postawia stopy na amerykańskiej ziemi.

„Najpierwszym naszym było staraniem, aby dla utrzymania reprezentacji narodowej uformować Komitet” — pisał potem jeden z wygnañców w swoich wspomnieniach. A inny notował w zapiskach sprawozdawczych: „*Na fregatach jeszcze (przebywając) koledzy nasi uznali potrzebę utworzenia Komitetu Narodowego, który by zajął się kierowaniem interesów ogólnych*”.

Rzeczywiście, w dn. 1 kwietnia odbyło się pierwsze zebranie Ogółu (tak nazywano walne zgromadzenia), na którym polscy tułacze wybrali Komitet z 7 osób złożony. Przewodniczącym został kapitan Ludwik Bończakiewicz, z pułku grenadierów, członkami — powstaniec z Wołynia Marcin Rosienkiewicz, warszawianin ppor. Jan Hiż, obywatel z Wołynia Feliks Gwinczewski oraz dwóch wojskowych: ppor. Józef Kosowski i żołnierz Jan Rychlicki. Dla prowadzenia wspólnej kasy Komitetu uproszono ks. Ludwika Jerzykiewicza, kapelana w powstaniu, wicerektora jednej z wołyńskich szkół Pijarów.

Marcin Rosienkiewicz był w tej ekipie postacią najświeższą i wybitną wkrótce na czoło dalszej pracy Komitetu. Pochodził z Wołynia, był nauczycielem historii i literatury w słynnym Liceum Krzemienieckim i znany był przed wojną w całym województwie. „*Szczytuję się nawet że wielu pokładało we mnie zaufanie*” pisał potem. W powstaniu na Rusi był zwykłym ochotnikiem.

On to zapewne rzucił myśl utworzenia Komitetu i od razu znalazł się wśród najpierwszych poczynań tej bezbronnej gromadki, nie znającej nawet mowy nowego kraju. Gromadka ta nie spotkała się z entuzjazmem, jaki 2 lata temu witał Polaków w przemarszu przez Niemcy i Francję. Jeśli niektórzy spodziewali się, że rząd Stanów zaopiekuje się nimi i z kasy państwowej wyznaczy fundusze na ich utrzymanie, jak we Francji czy Anglii — to zdurzenia te rozwiązy się natychmiast po pierwszej wizycie delegatów Komitetu u władz miasta. Wysłani jeszcze z okrętów do prezydenta Nowego Jorku dla wybadania, na jakie względy i na jaką pomoc mogą liczyć w Stanach Zjednoczonych, usłyszeli z ust jego odpowiedź, że „*nie tylko Polacy, lecz każdy przybywający ma prawo używać swobodę wszystkim mieszkańcom*” i że środki utrzymania się „*leżą we wszystkich rękodzielach i kunsztach tego kraju, które dla każdego stoją otwarte*”.

Wtakiej to atmosferze niepewności i lęku przed nieznanym jutrem wylądowali nasi wygnañcy w porcie nowojorskim 2 kwietnia 1834; rozlokowani w opłaconych kwaterach, zgubieni w ogromie obcego im ducha i mową miasta, zaczęli z niepokojem wyczekiwać pierwszego obrótu ich losu i skutków pierwszych starań Komitetu.

Dzięki Opatrzności Boskiej dwie bratnie dłonie wyciągnęły się ku nim w tym momencie — takich samych jak oni wygnañców. Znalazł się bowiem (dziwnym zbiegiem okoliczności) w Nowym Jorku człowiek znany wśród Emigracji, dr Karol Kraйт-сir, Węgier z pochodzenia a Polak z przyjaźni, który bił się w powstaniu i był jak najściślej związany z losami naszego tułactwa. Przyjaciel Lelewela, uczestnik mimo swej narodowości paryskiego Komitetu Narodowego z 1832 r., potem emigrant do Stanów, na pierwszą wieść o przybyciu nowej fali wychodźców do Nowego Jorku zjawiał się oddając Ko-

(Dokończenie na str. 2-giej)

Z TEKI NORWIDA

TRZY EMIGRACJE

SAMA emigracja... stara (a jak zwać bym wolał, starsza), nie jest jeszcze jedyną polską emigracją, lubo jest jedyną polityczną, drugą z rzędu, moralnie uważając.

Bo pierwsza jest emigracja w kopalniach i na całej stronie azjatyckiej, gdzie duch polski bezpośrednio przed Bogiem sprawuje służbę, lubo nie przestaje on należeć do narodowego organizmu.

Druga jest na zachodzie, gdzie naród polski w obliczu ludzkości postawiony, i ta jest polityczną.

Trzecia jest w kraju, gdzie zarówno każdy patriota jest pod pewnym względem emigrantem, i dlatego to mówim: Naród polski w pielgrzymstwie lub na tułactwie jest.

Każda z tych emigracji inne oblicze ma, lubo całość stanowią wzięte razem, jak trzy strony kryształu narodowej istoty.

I tak pierwsza: jest to naród przed Bogiem.

Druga: przed ludzkością.

Trzecia: naród w kraju uciśnionym.

A jednakże nikt z trzeciej nie przestaje być przed Bogiem i przed ludzkością, tylko że w tym, co go nacechowało względem kraju, nie potrafi zastąpić go nikt z tamtych, albowiem to jego krzyż przed wszystkim, to jego wyłączne powołanie.

Tak jest i z innymi dwoma.

Tajemnica krzyża narodowego w te

trzy, mówię, promienie się rozpada: Na emigrację na wschodzie — w kopalniach, Sybirze, posiedzeniu, gdzie świętością jedynie się pracuje, tak jak i w przegnananiu na ramieniu prawym znak świętego kładziemy.

Na emigrację na zachodzie, gdzie w obliczu Ducha sprawującego ludzkością naród stoi.

Na emigrację narodową w kraju, której Chrystusowy Syna przymiot świeci.

Ramię krzyża czwarte jest złożone z tych, co już w Ojca sprawie służą. Złożenie tych wszech prac i wszech zasług daje Amen. Tymczasem zaś krzyż a miecz!...

PIELGRZYM

NAD stanami jest stanów-stan, Jako wieża nad płaskie domy Stercząca w chmury...

Wy myślicie, że i ja nie Pan, Dlatego że dom mój ruchomy Z wielbłądziej skóry...

Przecież ja — aż w nieba tonię trwam,

Gdy ono duszę mą porwya Jak piramidy

Przecież i ja — ziemi tyle mam, Ile jej stopa ma pokrywa, Dopókąd idę!...

Cyprian NORWID

PIERWSI ZA OCEANEM

(Dokończenie ze str. 1-szej)
mitetowi swe siły i swe doświadczenie.

Drugim, który przybył z pomocą, był polski inżynier Antoni Gerard, kaliszczanin, również z powstania, osiedlony od dwóch lat w Nowym Jorku.

On to i jego żona otwarli dla nowoprzybyłych rodaków swój dom gościnny i swoje towarzyskie stosunki. W ten sposób, dzięki obu tym ludziom, polski Komitet Narodowy mógł rozpocząć akcję pozwalającą na wyjście z impasu. P. Gerard utworzył Komitetowi drogę do kilku znaczących obywateli miasta i spowodował utworzenie w Nowym Jorku Komitetu Obywatelskiego Pomocy Polakom, który potem stał się wzorem dla podobnych Komitetów w innych miastach.

Dr Kraitsir zaś ułatwił kontakty rządowe. On również, orientując się w warunkach kraju, a także znając polityczne podstawy emigracji i idee w treści jej bytu, nie tylko przyjął uczestnictwo w polskim Komitecie Narodowym, ale, co więcej, radą swoją i pracą przyczynił się do umocnienia postawy, jaką przyjął Komitet w chwili swego powstania. On jeden zrozumiał istotną tendencję Komitetu Narodowego, który sprawę materialnego bytu wygnańców w Ameryce pragnął połączyć z zasadą zachowania Emigracji jako całości — dla utrzymania odrębności narodowej w dalszej walce o Polskę. On jeden, świadom stosunków amerykańskich, również zdał sobie sprawę, że cel Komitetu osiągnąć być może tylko wtedy, gdy wygnańcy pójdą nie do miast, ale — razem — na „dziki Zachód” i własnym wysiłkiem założą polską osadę.

W małym hoteliku nowojorskim, gdzie w pierwszych dniach kwietnia 1834 r. zamieszkał chwilowo członkiem Komitetu, w ogniu żywej dyskusji urodził się i wykształcił ów projekt, który stanie się podstawą zabiegów Komitetu w najbliższej przyszłości a także wytyczną do dalszych wysiłków dla późniejszych pokoleń wychodźstwa polskiego w obu częściach Ameryki.

Tę ogólną linię przyjętego wtedy planu sformułował Rosienkiewicz w liście sprawozdawczym, który kilka miesięcy później (23.IX.1835

roku) wysłał ks. Adamowi Czartoryskiemu do Paryża.

„Zaraz po przybyciu do Nowego Jorku — pisał on — Komitet Narodowy Polski zaczął się na tym naradzać, co nam przedsięwziąć wypada nadal, ażeby charakter naszej narodowej emigracji nie zginał. Nie tracąc ani na jedną chwilę nadziei zmartwychwstania Ojczyzny, lecz zważywszy obecny stan Europy, położenie naszej Ojczyzny i nas samych w tym kraju (Komitet) zdecydował, że ani dla Ojczyzny, ani dla nas nie może być nie korzystniejszego nad kolonizację w Ameryce... Kolonizacja ta jeżeli się powiedzie będzie epoką tak w naszych jak amerykańskich dziejach. Jeśli okoliczności dozwolą, że do wolnej i niepodległej Polski wrócimy, — przyniesimy z sobą te korzyści, iż nabędziemy tu praktycznych zasad publicznego i towarzyskiego (tj. społecznego) życia... Jeśli przez zbieg smutnych okoliczności na zawsze tu nam pozostać wypadnie, tę mieć będziemy poaciechę, że to sobie utworzymy Nową Polskę, a gdy losy zawisną zaprowadzą tu naszych ziomków, ci w tym szczęśliwsi będą od nas, że znajdując rodaków, którzy ich do bratniego przycisną tona...”

PROJEKTY powyższe można było urzeczywistnić tylko przy poparciu rządu Stanów Zjednoczonych, nie więc dziwnego, że w tym to kierunku zwracają się pierwsze starania Komitetu Narodowego. Około połowy kwietnia 1834 r. wyjeżdża więc do Washingtonu, do obradującego tam wtedy Kongresu delegacja Komitetu w osobach Bończakowicza, Rosienkiewicza i dra Kraitsira, celem przedstawienia sprawy i uzyskania obszarów ziemi na założenie polskiej osady.

Nie znamy szczegółów ich starań, lecz wiemy, że dotarli tam, gdzie potrzeba. Przyjeźci byli przez Kongres i przez Prezydenta Stanu Andrew Jacksona, któremu złożyli petycję o przydział ziemi w imieniu 235 wygnańców. Petycja została przyjęta jednogłośnie przez obie Izby, Senatorów i Reprezentantów i odesłana została dla szczegółowego rozpatrzenia do t.zw. Komisji Ziem Publicznych. Badanie owej petycji przez członków Komisji wypadło pomyślnie. 29 kwiet-

nia wydała ona orzeczenie z bardzo obszernym uzasadnieniem i zajęła stanowisko przychylnie wobec próby wygnańców. Jakkolwiek stwierdzała, że Polacy nie mają podstaw prawnych do zabiegania o bezpłatny przydział gruntów publicznych na kolonizację, jednak orzekła, że posiadają oni podstawy natury moralnej i politycznej.

„Petycjonariusze — czytamy w tym dokumencie — są małą resztką walecznej armii, która staczała bój nierówny, bój rozpaczliwy z przemagającymi siłami cesarstwa rosyjskiego i która mężnie postanowiła przywrócić Polsce wolność... Wyrzucił w posiadanie kraju, więzieni w Austrii i Prusach, nie wpuścił do Francji, nie mieli wyboru, tylko między poddaniem się pod jarzmo, może pod miecz katowski, a transportacją mimowolną do naszych Zjednoczonych Stanów, gdzie po raz pierwszy używają oni opieki prawa i swobód... Komisja sądzi, że przychylną się do próby, rząd okaże słuszne względy dla cierpienia wszystkich cudzoziemców, których los wyrzuci na brzegi nasz; będzie to wypłacenie się z tego, co jedyna część rodu ludzkiego winna jest drugiej... Czyż współziomkowie Pułaskiego i Kościuszkowie daremnie do nas próby zanosili? — Czyżliż odnowimy im pomocy i wsparcia, kiedy tyranii w Europie nie pozwalają im miejsca spoczynku, dlatego, że byli żołnierzami wolności?...”

Na skutek opinii Komisji i wyraźnego zalecenia Izby Senatorów przychyliła się również do petycji i uchwaliła Bill nadający grupie 235 wygnańców tytułem darowizny jeden okręg, t.zn. township, w stanie Illinois. Był to olbrzymi obszar ok. 23000 polskich morgów, czyli 100 morgów ziemi na jednego wygnańca. Powyższy sukces w Komisji i Senacie został jednak umniejszony, gdy sprawa darowizny weszła z kolei pod obrady Izby Reprezentantów. „Byłby się zapewne Bill przez Senatorów podany utrzymał — pisał potem Rosienkiewicz — gdyby deputacja nasza dla braku funduszy i innych niekorzystnych okoliczności nie była zmuszona opuścić Washington przed ukończeniem sesji Kongresu”.

Te właśnie „inne okoliczności”, zaś nieobecność polskiej delegacji, sprawiły, że projekt Billu, uchwalony przez Senat, został przetrzymany w Izbie Reprezentantów przez szeregi tygodni i dopiero w ostatnim dniu Kongresu poddany pod dyskusję; podczas niej ujawniona opozycja sprawiła, że w ostatecznym głosowaniu charakter darowizny zmieniony został na sprzedaż z długim i dogodnym terminem spłaty.

„Nadaje się Ludwikowi Bończakowiczowi — tak brzmiał tekst Billu, uchwalony przez Kongres 30 czerwca 1834 — i jego towarzyszom w liczbie 235, wychodźcom polskim, przewiezionym do Stanów Zjednoczonych z rozkazu cesarza austriackiego, 36 sekcji gruntu, które sobie wybiorą za siedzibę Sekretarza Skarbu w granicach powiatu Illinois i terytorium Michigan... Obrane 36 sekcji gruntów mają być podzielone na równe części między 235 Polaków i wylosowane. Każdy z przedsiębiorców polskich wejdzie w posiadanie swej części, a po upływie 10 lat be-

dzie mu wygany pisemny dowód własności na części ziemi, która mu losem przypadła, byleby ją tylko uprawiał i przez 10 lat ciągle w niej przemieszkwał. Wyznacza się 500 morgów na jedną osadę. Dowód własności wydany będzie w wyżej oznaczonym terminie tym przedsiębiorcom, którzy oprócz poprzedniego warunku okażą, iż zapłacili minimum czynszu od morga”.

JAKAKOLWIEK była forma — darowizna czy sprzedaż — sam fakt uchwalenia jej przez Kongres, a zwłaszcza szczegółowa dyskusja w Komisji i obu Izbach Kongresu musiały wywrzeć duże wrażenie w opinii publicznej Ameryki. Tworzą się przede wszystkim amerykańskie Komitety Pomocy. W ślad za Komitetem nowojorskim, który, jak wspomnieliśmy, powstał w kwietniu 1834 r. i którego przewodnictwem objął Senator Albert Gallatin, dawny poseł U.S.A. w Anglii i we Francji i przyjaciel Niemcewicza, powstaje 5 maja pod przewodnictwem M. Careya podobny Komitet w Filadelfii, który wystawia na giełdzie miejskiej Akt subskrypcyjny na rzecz Polaków pod tytułem „Cieniom Kościuszki”. W parę tygodni później powstaje pod przewodnictwem Ewreta trzeci Komitet, w Bostonie, w którym sekretarzem został S.G. Howe, przyjaciel Polski i emigracji, dawny wysłannik Stanów do Polski z pieniędzmi i sztandarami dla Powstania.

Również mieszkańcy Illinois, na wiadomość, że Senat uchwalił Bill o nadaniu Polakom obszarów w ich stanie, wysłali 24.V na ręce senatora Gallatina specjalny adres do polskich tułaczy: „Przybądźcie — pisali — szlachetni potomkowie walecznego Narodu... Przybądźcie Bohaterowie i Męczennicy wolności! Wyciągnijcie do Was braterskie dłonie! Chodźcie z nami dzielić bujne owoce ziemi naszej i tej swobody, która również krwią przodków Waszych okupiona była...”

Ks. Czartoryski, na wieść o lądowaniu polskich wygnańców w Nowym Jorku, witał ich w imieniu całej Emigracji własnoręcznym listem z 15 kwietnia, wystanym z Paryża, zaś sędziwi Niemcewicz po uchwaleniu Billu wysłał w długim liście błogosławieństwo dla nowych wygnańców na nową ich drogę życia i pracy dla Polski. „Jakżeby był szczęśliwy — pisał — wśród Was skończyć ten nędzny żywot. Kamień polny, położony na mogile mojej w wolnej krainie, chlubię się, w której ja dla mnie jak najprzejmniejszy w niewolniczej ziemi grobowiec...”

W lecie 1834 r. wydawało się wszystkim, że nie już dzieł naszych nowojorskich tułaczy od celu, który sobie wyznaczili. Marzyło się już niektórym z nich, że są już na własnej ziemi i we własnym domu. W polskiej osadzie w Illinois widzieli bowiem koniec tułactwa i możliwość podjęcia pracy dla ujarzmionej Ojczyzny. Tylko przestrzeń i czas — zdawały się mogło — odgradzały ich od kraju marzeń.

Zaczynał się w ich tułactwie nowy etap, który przedstawiony będzie w drugim artykule.

Czesław CHOWANIEC

KRONIKA KULTURALNA

Akademia ku czci Cypriana Norwida. — Staraniem Twa Historyczno-Literackiego oraz Komitetu Uczczenia Pamięci Cypriana Norwida odbyła się w dn. 19 października br. uroczysta Akademia, poświęcona upamiętnieniu 75-tej rocznicy zgonu Cypriana Norwida. Uroczystość odbyła się w Zakładzie św. Kazimierza, gdzie wielki poeta-mysliciel i artysta zakończył życie 23 maja 1883 r.

Obrazy polskie na wystawach paryskich. — Letni sezon wystaw artystycznych Paryża zaznaczył się w tym roku niebywałym od szeregu lat pokazem rzeczy polskich.

Na dwie wystawy warto zwrócić uwagę. Urządzone w gmachu Orangerie wystawa pt. „Sztuka francuska i Europa w XVII i XVIII w.” pokazała nam kilka dzieł polskich w zbiorach paryskich i kilka dzieł francuskich w zbiorach polskich. Louvre wystawił A. Kucharskiego portret żony artysty i J.P. Norbina Jeźdźcy polscy, a Szkoła Sztuk Pięknych w Paryżu A. D. Liszewskiej — Człowiek ze szklanką wina. Muzea zaś warszawskie wypożyczyły A. Watteau obraz Polki, — J.-B. Greuze „Ptasznik”, a przede wszystkim wspaniałego J.-L. Davida portret konny Stanisława Kostki Potockiego, który stanowi główną atrakcję wystawy. Wytknąć należy błąd w katalogu, starannie zresztą opracowanym, odnośnie spraw polskich, np. „Kucharzsky”.

Warszawa wystąpiła równocześnie na terenie Paryża z innym pokazem w Muzeum Jacquemar-Andr , gdzie z okazji międzynarodowego kongresu Historii Sztuki podziwialiśmy bardzo piękną serię rysunków i projektów architektonicznych słynnego architekta francuskiego XVIII w. Victor Louis, który na życzenie króla Stanisława-Augusta wykonał w latach 1764-1773 projekty dekoracyjne dla Zamku w Warszawie. Wystawa ta poprzednio pokazana była w Bordeaux, mieście rodzinnym artysty. Starannie przygotowany katalog ze wstępami prof. Lorentza i Pariset oraz naukowym opisem eksponatów podnosi wartość tej imprezy artystycznej.

Niezależny Związek Nauczycielstwa Polskiego we Francji odbył swój walny zjazd w Paryżu 22.IX.br., w którym w szeregu referatów i dyskusji omówione zostały najważniejsze i palące sprawy oświaty i szkolnictwa polskiego wśród emigracji naszej we Francji.

Z życia Sokoła polskiego w Paryżu. — Z zakończeniem okresu wakacyjnego obecny zarząd „Sokoła Polskiego” w Paryżu rozpoczął na nowo swoje periodyczne Wieczorki literacko-artystyczne, ciesząc się wielkim powodzeniem w kolonii paryskiej. W ostatnim czasie odbyły się zebrania 28.IX., 5.X. i 12.X. i są kontynuowane co niedzieli.

Norwid — poeta myśliciel

(Dokończenie ze str. 1-szej)
cydzicie jednoczennym Słodycz, w nowelach symbolicznych, w wierszach, w poematach, jak Promethidion, Quiddam, Assunta, w prelekcjach — o Wolności Słowa, o Słowackim, w rozprawach, jak Milczenie. Dla niej żył, pracował i walczył. Była mu ona „myślą, więcej, cało-żywoletem wiecznym i czasowym człowiekiem myśl tę wyrażającego”.

Do oceny rzeczy i ludzi stosował Norwid analogiczny sprawdzian. „Nie kto kogo rodzi jest ważne” — mówi — „to wiemy, ale co kto rodzi”. Człowiek każdy stworzony jest po to, by zrodzić coś oryginalnego, coś własnego. Niekiedy rodzi się w pracy ciągłej, w trudzie całego życia, niekiedy jeden akt — ostateczny — stwierdza, w całości, tę wewnętrzną oryginalność. „Pytasz co mówię, gdy warszawskie dziecię wstaje oparte na cudzie? Bogu dziękuję, że jeszcze na świecie są oryginalni ludzie...” — mówi Norwid na wiadomość o czynie 17-letniego ucznia szkoły izraelskiej, Michała Landy’ego, który, 8 kwietnia 1861 roku, podczas szarży Kozaków na pochod idący przez ulicę Warszawy, chwycił krzyż z rąk księdza upadającego pod ciosami szabla, wznosił go, stanął na czele pochodu i padł, w parę chwil później, rażony śmiertelnie.

Oryginalność bowiem, to zgodność z sumieniem, a wiedzę i ufność w sumienie indywidualne — mówi Norwid — uzyskuje się przez odniesienie go do ostatecznego źródła prawdy za pomocą „najzdrowszej eksztazy, modlitwami coraz to krótszymi, aż do tak krótkiej... jak Modlitwa Pańska”. Ta droga idąc, sumienie „odźródła”, to jest dochodzi do źródła, „wyboru i wynalazstwa” i czerpie zeń „wole i siłę”.

Oryginalność — mówi jeszcze Norwid — „to sumiennosc w obliczu źródła”. Ten pozorny paradoks tłumaczy się jego pojęciem źródła. Kiedy uczniowie wielbili Sokratesa, ów rzekł: nie dziękujcie mi, lecz Temu, który sprawiła, że słowa moje rozumiecie i z nich korzystacie. Ludzie nie tworzą nic, jedynie Pan, Mistrz nasz, tworzy i jedynie pierwiastek idący z Niego — jest twórczy. On składa się na tradycję — ós dziejów ludzkości i narodu, on objawia się w sumieniu czło-

wieka, szukaniem i pracą, wchodzi do zdobytego przez się miejsca — drogą własną, jak Cezar rzymski, który wchodził przez wyłom w murze zdobytego miasta — i to był łuk triumfalny.

Naśladować nie wolno nigdy, nawet Chrystus nie powinien być „imitowany”, lecz wyznawany. Ten co nie chce i nie zdoła nie sam z siebie, to słuha leniwy, zakopujący talenty w ziemię, to niewolnik formy martwej, skradzionej drugiemu, z której uszła treść dawna, a nowa wejść nie może, to zazdrośnik uwłaczający cudzej sprawie. „Strzeżcie się pychy — mówi Cezar do Kleopatry — pychy z przodków, kości i popiołów, lecz nie żywego techniczenia wolnych piersi. Trzeba być pierwszym w czymś”. Pierwszym, znaczy: jedynym, zgodnym z oryginałem myśli Bożej o każdym stworzeniu.

POTWIERDZENIE tej prawdy, której artykuły przyjął i wyznawał, znalazł Norwid w chrześcijaństwie. W nauce Boga, który zszedł między ludzi, i „do historii, która wielkich zdarzeń czeka — dotaczył biografie każdego człowieka”.

Znalazł w tej nauce również dopełnienie swej myśli, w dogmacie, który łączy metafizykę (w dosłownym znaczeniu) z naturą, a dzieła zasady norwidowskiej oryginalności i pojęcia nietzscheańskiego nadczłowieczeństwa: w dogmacie łaski. W tym wielkim boju o prawdę sumienia, człowiek dochodzi do granic swych możliwości, jakże niedoskonałych, jakże lichych. Ale — spokojnym bądź — mówi Norwid — „Bóg dokona reszty”.

W każdej strofie swej poezji, w każdym okresie swej prozy, Norwid, poeta-myśliciel, dowodził tej prawdy, podstawowej dla wszystkich jego pojęć szczegółowych. Dlatego, gdy żegnał się z tym światem, na którym było mu „smutno i najsmutniej”, gdy przyszła śmierć — „ta form mistrzynie” — gotowy był duszą, która, celem, przetrwała doczesną formę, rzucił „resztkę szat do czarnej skrżynie” i, jak Sokrates z fragmentu Nietwoli — „nie umarł, skończył tylko dowodzenie”.

Irena Gałgouska

W pracowni pana Cypriana 100 lat temu

W roku 1858 Józef-Ignacy Kraszewski przez szereg dni bawił w Paryżu. Jego kartki z podróży, opublikowane w Warszawie w 1874 r., notują cały szereg ciekawych spostrzeżeń, które nasz pisarz poczynił oglądając miasto i ulice, zwiędzając zbioru i śledząc życie stolicy II-go Cesarstwa.

„Korzystając z ostatnich chwil pobytu w Paryżu — pisał on — chciałem jeszcze zwiędzić pracownię niektórych naszych artystów”. W jesieni więc 1858 r., a więc równo 100 lat temu odwiedził przebywającego wtedy w Paryżu Józefa Kossaka, Leona Kaplińskiego, Franciszka Teppe, zaglądnął pod nieobecność Rodakowskiego do jego pracowni, zastalowanej w mieszkaniu artysty francuskiego Delarochea zapukał do mieszkania sztycharza Antoniego Oleszczyńskiego i Teofila Kwiatkowskiego, również udał się do skromnego pokoju w domu Nr 38 rue de Bellefond, nieopodal dworca północnego, gdzie mieszkał Cyprian Norwid.

Jakim był w tym czasie nasz poeta i jak się przedstawiał w oczach ludzi, którzy się z nim po raz pierwszy spotykali, najlepiej opisuje to Leon Czaykowski w jednym z listów, pisanych z Paryża na wiosnę 1858 roku.

„O Norwidzie, cóż mam Ci powiedzieć — pisze on do przyjaciela bawiącego w kraju — poznałem go, lecz znam go jeszcze mało dotychczas. Nic dziwnego dostrzegłem nie mogłem, owszem nadzwyczaj przyjemny, bardzo myślicy, a przede wszystkim niezmiernie łagodny w każdym sędzie człowiek. Zna większą część kuli ziemskiej i wszystkie prawie inteligencje sztuki. Głuchy jest tak, że trudno mu się udzielać, a sam — wbrew zwyczajowi głuchych, tak wiele mówi że trudno go zrozumieć. Mówi dość płynnie, lecz myśl mu skacze po wszystkich — po ziemi i po gwiazdach, a na zapytanie (które dostąży) odpowiada tak, że do słów jego własną swą myślą trzeba sobie długi most zbudować. Zresztą wszystko com słyszał, nie było tego

rodzaju by zrozumieć tego nie można... i oznaczają zawsze człowieka bardzo niezwykłego prądu myśli...”

Z takim to właśnie Norwidem zetknął się jesienią 1858 r. Kraszewski, z którym spotkanie zapisał w swoich „Kartkach z podróży”. Oto co notował:

„Na ostatek ominąć się nie godziło pracowni skromnej a jednej z najoryginalniejszych pana Cypriana, chociaż nie wiem czy Cyprian jest bardziej poetą, czy artystą? Niestety, jest to plód wieku, chwili, wpływu jakichś czy najdziwniejszej w świecie natury, chorobliwa, nieszczęśliwa istota, złożona z jasnych promieni i pasów atramentowej czarności. Trzeba umieć poszanować w nim cierpienie, fantazję, dziwactwo, talent, przyjąć go jak jest, ale nie podobna nie użalać się nad tym geniuszem zwiniętym. Egzaltacja jaką wypadki wyrobiły; Mickiewicz, Krański, Słowacki naturalne owoce epoki tej, stworzyły też takich nieśczęśliwych Cyprianów w gorące nieustające, dobijających się ekscentrycznością oryginalności, ciemnością i zagadkowością geniuszu. Cyprian sądził się i sądzi równym pierwszym poetom epoki, dlatego że niekiedy przesciga ich mistycyzmem, tajemniczością, które u niego przeszły w systemat. Zaden jego poemat dłuższy wszakże nie tworzy całości, a najkrótszy i najpiękniejszy wierszyk nie jest wolen od jakiegoś wrybryku, co go kazi. Pod tym względem szkie jego są daleko piękniejsze od poezji, lecz jak skoro wda się w kompozycję historyczną, religijną, mistyczną, zdradza zupełną nieudolność artystyczną. Pomysł będzie znakomity, wykonanie niedołężne. W maleńkiej, ubogiej izdebce znalazłem biednego Cypriana, otoczonego przeróżnymi pamiątkami, studiami, rysunkami, obrazkami. Wszystko tu odbijało charakter człowieka. Nad łóżkiem wisiał biały krzyż z drzewa bez Chrystusowego wizerunku, ale z bardzo starannie odmalowanymi, z pewnym obrachowaniem prawdy,

znakami krwi, sędy były przybite ręce, nogi i zraniona leżała głowa. Nigdy podobnego nie widziałem krucyfiksu, a ten zrobił na mnie może większe wrażenie, niż najpiękniejsza figura. Pomysł takiego krzyża należy Cyprianowi. Oprócz tego ze swego Albumu rysunków artysta wkłada w ramy wiszące naprzeciw łóżka obrazek, wspomnienie jakiegoś, którym się chce karmić, i zostawia go kilka tygodni, czasami dłużej, dopóki fantazja nie przyjdzie odmienić. W innych ramach zeschnięte liście, szczątki jakiegoś życia...”

„W czasie podróży swej do Ameryki, w której wycierpiał wiele, Cyprian na pokładzie okrętu rysował co widział, utrzymywał rodzaj dziennika, przepłatanego słowami i szkicami. Ta księga pamiątek jest niezmiernie zajmująca. Szkic piórem Norwida czasem bywa wyborny, pojęcie przedmiotów, schwycenie ich wyrazu nader szczęśliwe. Oprócz rysunków z podróży morskiej, katekumb i innych wiele pokazywał nam, objaśniał i tłumaczył. Była i rozpoczęta większa kompozycja, pomysł nader szczęśliwy i niezwyčajny, lecz w wykonaniu zupełnie chybyony: Chrystus i Barabas z więzieniu Do stworzenia takiego obrazu Cyprianowi brakło studiów, rysunku, a nawet poczucia ideału w liniach, w budowie całości, i stylu. Siłąc się na niezwyčajny wyraz i oryginalność, rozbił o nieudolność, powiem techniczną niemal. Kompozycja Norwida z których niewiele szychował aqua forti, i litografował piórem, mało są u nas znane. Toż samo tu co w pozycjach, wysiłek ogromny a fałszywy kierunek czy pojęcie, więcej dziwactwa niż wdzięku, ubieganie się za efektem i kontrastami. Może z całej spuścizny po tej nieszczęśliwej ofierze czasu, temperamentu szkoły, nie wiem, najcenniejszy będzie ów album rysunków ze statku, który go wiózł do Ameryki. Tu on zapomniał, że musiał być wieszczem genialnym, i był prostackim tłumaczem swych wrażeń...”

A. Z.

SZCZĘŚCIE

Podstęp podpalaczy świata

B.D.I.C.

NIERAZ chciałbyś podejść i do nieznanego człowieka i zapytać go: „No i co, braciśku, jak ty żyjesz? Czyś zadowolony ze swego życia? Czy było w twoim życiu szczęście? Rzuć okiem na twoją przeszłość!”

Odkąd zachorowałem na katar kieszki, pytam o to wielu ludzi. Niektórzy wykręcają się żartem: „Żyje, mówi, i chleb żuje”. Inni zaczynają gnać bezwstydnie: „naturalnie, żyje wspaniale, lepiej nie trzeba, płacą mi podług szóstej klasy, rad jestem z rodziny”.

I tylko jeden człowiek odpowiedział mi na to pytanie serio i rzeczowo. A był nim drogi mój przyjaciel, Iwan Fomicz Tiestow. Szklarz z rzemiosła. Sam taki sobie człeczyzna, nie bardzo mądry. I z broda.

— Szczęście, mówisz? — zapytał mnie. — A jakże, rozumie się, że było. — No i co — pytam — i wielkie to było szczęście?

— Tak czy wielkie ono było, czy małe, to nie wiadomo, a tylko zapamiętałem je na całe życie.

Iwan Fomicz wypalił dwa papierosy, zebrał się z myślami, mrugnął na mnie, nie wiem dlaczego, i zaczął opowiadać.

— A było to, drogi towarzyszu, lat temu może dwadzieścia czy dwadzieścia pięć. I byłem ja wtedy przystojnym młodzieńcem, nosiłem wąsik stojące do góry i podobałem się sam sobie. I ciągle tak, wiesz, czekałem, kiedy to do mnie szczęście przyjdzie. A lata szły tymczasem i nie takiego się nie zdarzało. Nie zauważyłem nawet, jakem się ożenił i jak się pobłem na weselu z krewnymi żoną, i jak mi żona potem dziecko urodziła. I jak potem żona w swoim czasie umarła. I jak dziecko również umarło. Wszystkiego szło tak powoli i tak gładko. I żadnego szczególnego szczęścia w tym nie było.

No, a raz, dnia 27 listopada, wyszedłem na robotę, a po robocie, pod wieczór, zaszedłem sobie do traktierni i poprosiłem o herbatę.

Siedzę i piję sobie ze spodeczka. I myślę sobie: ot, lata idą swoim porządkiem, a szczęścia tak i nie widać.

I tylko tak sobie pomyślałem — aż tu słyszę różne głosy. Obracam się, a tu gospodarz macha rękami, garson macha rękami, a przed nimi stoi pijany żołdat i próbuje usiąść przy stoliku. A gospodarz go odpycha i nie pozwala mu usiąść.

— Nie! — krzyczy — waszemu bratu, żołdatowi, nie wolno siadać przy stoliku w traktierniach. Sza! mi za to każą płacić! Idź do diabła, mój miły!

A żołdat pijany i ciągle przysiadł. A gospodarz go wygania. A żołdat klnie gospodarza i jego rodziców.

— Ja — krzyczy — taki dobry, jak i wy wszyscy! Chcę siąść przy stoliku!

No, klienci pomogli, wyrzucono żołdaka za drzwi. A żołdat jak wyrwie kamień ogromny z bruku, jak nim rymnie w lustrzaną szybę!... Tak i śladu z niej nie zostało.

A szyba lustrzana — cztery na trzy — nawet trudno powiedzieć jej cenę. Gospodarzowi ręce i nogi struchlały. Przykucnął, kiwa głową i strach m spojrzeć na okno.

— Cóż to — krzyczy — obywatelu! Zrujnował mnie ten żołdat. Dziś sobota, jutro niedziela — dwa dni bez szyby. Szklarza z rękawa nie wytrzęsę, a bez szyby goście siedzieć nie chcą, obrażają się!

A goście naprawdę się obrażają. — Wiecie — mówią — przez wybity szybę. Mamy tu przyszedł w ciepło posiedzieć, a tu ot jaka dziura!

Nagle stawiam ja spodek na stole, nakrywam czapką mój czajnik, żeby nie wystygł, i obojętnie podchodzę do gospodarza:

— Ja — mówię — miły gospodarzu, jestem szklarz!

— No, ucieszył się, porachował pieniądze w kasie i pyta:

— A ile taka muzyka kosztuje? Czy nie można by coś zrobić z kawałków?

— Nie można — powiadam — miły gospodarzu, z kawałków nie nic wyjdzie. Trzeba całą szybę, cztery na trzy. A cena takiej lustrzanej szyby będzie 75 rubli i mnie poczęstunek. Cena to, miły gospodarzu, bez konkurencji i bez targu.

— Co ty — mówi gospodarz — szaleju się najadłeś? Siadać — powiada — nazad przy twoim stoliku i pij herbatę. Za taką cenę... już lepiej zatkam ja okno pierzyną.

I każe on gospodini biec natychmiast do domu i przynieść pierzynę.

Przynoszą pierzynę, zatykają. Ale pierzyna wali się to na ulicę, to do izby. Ludzie się śmieją. A niektórzy goście nawet się gniewają, — bo i ciemno i nieładnie przy tym pić herbatę.

A jeden, pocziwiec, wstaje i powiada:

— Ja — mówi — i w domu na pierzynę patrzeć nie mogę, na co mi waższa pierzyna?

No i gospodarz znowu do mnie podchodzi i błaga mnie, żebym momentalnie leciał po szybę. I daje mi pieniądze.

Nawet nie dopilem już herbaty. Ścisnąłem pieniądze w rękę i poleciałem...

Przybiegłem do sklepu z szybami, a sklep zamknięty. Błagam, proszę — wpuścili!

I wszystko się stało tak, jak myślałem, i nawet lepiej — szybą cztery na trzy, trzydzieści pięć rubli, za przeniesienie pięć rubli, wszystkiego czterdzieści.

I ot już szybą wstawioną.

Dopijam ja mojej herbaty z cukrem, żądam rybkę, daję, potem żądam potrawki. Żądam wszystko i chwając się na nogach wychodzę z traktierni. A w rękę mam trzydzieści pięć całych rubli. Chcesz — możesz za nich pić, chcesz — możesz robić, co chcesz.

POLITYCZNY SEZON

Dokończenie ze str. 1-szej
obchodu 40-tej rocznicy odbudowania państwa, nie ma też zastój w dziedzinie znanych prób podważania i rozkładania postawy emigracyjnej. Są one — jak wiadomo — od czasu „polskiego października” przed dwoma laty robione przez komunistów nowymi, chytrzejszymi i często okólnymi drogami. Zamiast atakować wprost, jako zdrajców, reakcjonistów czy fascystów, próbuje się obecnie brać emigrantów naprzód za serce, a potem zwraca się im głowę. Próbuje się wchodzić do typ emigranta, który pozostaje wprawdzie dla wyгоды czy zarobku na obczyźnie, ale... z tęsknoty i miłości do kraju — uznaje komunistyczny reżym i jeździ Polskę odwiedzając z potrzeby serca.

Dziwna to i zakłamana ta rzekoma miłość i tęsknota za ojczyzną, skoro — uznawszy reżym komunistyczny — stracili się istotny powód pozostawania za granicą. Jeśli bowiem ktoś uznaje komunistyczny reżym a tęskni za Polską, to powinien do niej wracać na stałe, a nie robić na emigracji, w charakterze brytyjskiego, francuskiego

Ech, i piłem ja wtedy! Dwa miesiące piłem! I mimo tego porobłem jeszcze sprawunki: kupilem srebrny pierścionek i ciepłe ubranie. Chciałem kupić jeszcze i spodnie i bluzę, ale już pieniędzy nie starczyło.

Oto, drogi towarzyszu, jak widzicie, i w moim życiu było też szczęście. Ale tylko raz. A cała reszta życia płynęła sobie równo i żadnego wielkiego szczęścia w niej nie było.

Iwan Fomicz zamilkł i znowu, nie wiadomo dlaczego, mrugnął na mnie.

Spojrzaliśmy z zawieszoną na mego drogiego przyjaciela. W moim życiu nie było takiego szczęścia.

Zresztą, może i było, tylko om nie zauważył. **Michał ZOSZCZENKO**

(tłumaczyła z rosyjskiego dr Marya Kastarska)

OD TEUMACZA. Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Petersburgu-Leningradzie najwybitniejszy pisarz-satyrk rosyjski, Michał Zoszczenko (1895-1958). Był to Petersburgczanin, syn artysty i aktorki, który wykształcenie swe otrzymał jeszcze w szkołach przedrewolucyjnych, człowiek dużej kultury i wielkiego talentu. Biczem swego dowcipu i swej ironii chłostał wady i grzechy swych współczesnych, nie oszczędzając bynajmniej reżymu i komunistów. Miewał z tego powodu częste zatargi z władzami bolszewickimi, a w r. 1946 osławiony Zdanow zabronił wydawania i czytania jego utworów. Zakaz ten później cofnięto, lecz zatargi humorysty z reżymem nie ustały i nieraz dały mu się gorzko we znaki. Zoszczenko był czytany i ceniony przez emigrację rosyjską za granicą.

BONN-WARSZAWA-MOSKWA

Dokończenie ze str. 1-ej

sunków niemiecko-rosyjskich. P. Brentano odpowiedział, że taki pogląd „nie całkiem się zgadza”, dodał jednak, że Rosja jest tak ważnym czynnikiem w polityce europejskiej i światowej, iż żadne państwo nie może tego faktu ignorować.

Dwa lata temu, kiedy sprawa normalizacji stosunków z Polską weszła

na warsztat biurów dyplomatycznych w Bonn, sądzono — może nie bez słuszności — że zbliżenie do Warszawy stanowić może realny krok naprzód na drodze ku zjednoczeniu Niemiec. W Polsce upatrywano potencjalnego sojusznika w walce o jedność Niemiec. Dziś przeważa obawa, że kontakt z Polską, nawiązany bez wyraźnej aprobaty Moskwy, mógłby nie tylko zamrozić stosunki niemiecko-rosyjskie, lecz także stanowić wyraźną przeszkodę dla zjednoczenia.

Jest niezaprzeczalnym prawem każdego państwa prowadzenie takiej polityki zagranicznej, która wydaje się być najbardziej odpowiadająca interesom danego państwa. Nikt przeto nie będzie się dziwił, że NRF zależy na dobrych stosunkach z głównymi mocarstwami świata, a więc także z Z.S.R.R. Ale dobre stosunki z bezpośrednimi sąsiadami służą nie mniej interesom danego państwa co stosunki z wielkimi mocarstwami. Konstruowanie dobrych stosunków z wielkimi mocarstwami kosztem interesów małych sąsiadów skończyło się już nieraz tragicznie. Ignorowanie przez republikę wejmarkską faktu niepodległej Polski jako niezaprzeczalnej rzeczywistości było niewybaczalnym błędem ówczesnej polityki niemieckiej. Porozumienie Hitlera ze Stalinem skończyło się nie tylko katastrofą Niemiec, ale i podziałem Europy i świata.

Czyżby szukanie przez Bonn klucza do drzwi polskich jedynie w Moskwie miało być zapowiedzią zbroczenia z drogi, po której — tak się przynajmniej wydawało — chciała kroczyć dotychczasowa polityka Niemieckiej Republiki Federalnej? (EZN)

KAZIMIERZ IRANEK-OSMECKI

Bohaterowie podziemnego wywiadu

V.

„TOLEK” i „FELEK”
W PEENEMÜNDE

Z początkiem 1943 zaczęły nadchodzić z wybrzeża do Warszawy, przez pośrednie skrzynki pocztowe, umówionym kodem, pierwsze wiadomości. Najpierw „Tolek” doniósł, że wszystko idzie dobrze, i że podejmą z „Felkiem” próbę przeniknięcia do obozu. Następnie „Czesław” zawiadomił, że jest w Berlinie i wyrusza w dalszą drogę. Po otrzymaniu tych wiadomości zapanowało w otoczeniu „Dzięcioła” wielkie podniecenie.

Gdy „Tolek” i „Felek”, z niecierpliwości oczekiwani, powrócili do Warszawy — przejściwym spełnieniem misji — złożyli osobisty raport „Dzięciolowi”.

W drodze do wybrzeża ich dokumenty osobiste wytrzymały doskonale próbę kilkakrotnych kontroli. W strefie przybrzeżnej natomiast poruszanie się bez specjalnych zezwoleń było bardzo utrudnione. Powstały również trudności komunikacyjne, gdyż „autostopem” nie zawsze można było dojechać do upatrzonych miejscowości. Nie było innej rady: trzeba było zgłosić się do komendy odcinka wybrzeża. Gdy się na to zdecydowali, postanowili prosić o środki lokomocji. Śmiałość ta miała pełne uzasadnienie, gdyż przecież każdy prawowity SS-man tak by właśnie postąpił przy napotkaniu trudności w wykonaniu służbowego zlecenia.

Krok ten opłacił się sowicie. Nie wzbudziwszy żadnych podejrzeń, rzekli SS-mani otrzymali przepustki, zezwalające na poruszanie się w strefie przybrzeżnej, mapy wybrzeża, na-

leżny im prowiant, motocykl z przyrzeczką, zaopatrzone w numer rejestracyjny służby bezpieczeństwa przybrzeżnego, ponadto wydano im rozkaz jazdy motocyklem i kuponu na benzynę. Motocykl mieli zwrócić po wykonaniu nakazanych im służbowych czynności.

Takie wyposażenie otwierało wstęp niemal wszędzie tam, dokąd zamierzali się udać; mogli sobie kupić ze wszystkich kontroli. Zrobiono tylko zastrzeżenie w komendzie wybrzeża, by miejsca na obóz wypoczynkowy nie wybierać vis a vis Peenemünde ani w pobliżu stanowisk artylerii, rozmieszczonej tu i ówdzie na wybrzeżu. Nie oznaczało to jednak, by nie wolno było tam dotrzeć w innym celu.

Po naradzie „Tolek” i „Felek” postanowili dostać się na wyspę, dojechać do Peenemünde, uszkodzić taką część motocykla, której nie można zastąpić częścią wymienną i prosić o naprawę w miejscowym warsztacie; to by umożliwiło im kilkudniowy pobyt w obozie. Tak też postąpili, a pomysły okazały się realny, jak mogli sądzić, tylko dzięki numerowi rejestracyjnemu motocykla, gdyż on to usuwał wszelkie podejrzenia.

Przybyłszy do Peenemünde SS-manom przydzielono ciepłą kwaterę w baraku, wyżywienie w kasynie, a motocykl zabrano do warsztatu.

„Tolek” i „Felek” mogli teraz przystąpić do wykonania właściwego zadania. Z obserwacji i z rozmów ustalili, że obóz składa się z dwóch części. Część zewnętrzna, w której dano im kwatery, znajdowała się w wejścia na cypel półwyspu. W tej części mieściły się administracja, służba bezpieczeństwa,

magazyny, drobne warsztaty itp. W głębi półwyspu była właściwa, mieszcząca doświadczalne zakłady, część obozu. Wstęp do niej dozwoleony był za specjalnymi przepustkami; nielecnie tylko osoby, zatrudnione w części administracyjnej, miały wstęp do wewnętrznej części obozu.

Ruch na półwyspie był ożywiony; często przejeżdżały samochodami osoby cywilne, oficerowie lotnictwa i wojska; przybywały kolumny samochodów ciężarowych. Kontrola udających się do wewnętrznej części obozu była bardzo skrupulatna. W powietrzu stałe unosiły się samoloty i wodniolotowce.

Rozmowy „Tolka” i „Felka” z niemieckimi „towarzyszami broni” potwierdziły przypuszczenie o tym, że tutaj właśnie przeprowadza się próby nowej broni. Wypowiedzi były jednak powściągliwe, wobec zakazu omawiania szczegółów. We wszystkich lokalach urzędowych, kasynach i świetlicach figurowały affise ze sloganami: „Strzeż się! Szpieg podsłuchuje!” Dla „Tolka” i „Felka” były one przestrożką, by właśnie oni strzegli się przed podsłuchiwaniem przez Abwehrę ich rozmów, prowadzonych zresztą zawsze, gdy nawet byli sami, w języku niemieckim.

Mimo zakazu rozmów na temat prób doświadczalnych, fakt, że tuż opodal za sąsiednim ogrodzeniem dzieją się rzeczy dziwne, tajemnicze, i że wszystko co robi się z tej strony drutów ma służyć dobru tamtej, wewnętrznej części obozu — powodował „samoczynne” wchłanianie niedyskrecji. Stąd przynajmniej goście obozu wywnioskowali, że nowa broń ma właściwości samolotu; zaobserwowali zresztą przybywanie, o-

krytych szczerle pachłami namiotowymi, transportów, których ładunki podobne były do kadłuba samolotu.

W powietrzu nie zauważyli jednak żadnych osobliwych zjawisk, poza krążeniem rozmaitych typów samolotów i wodniolotowców.

Mimo usiłowań, by znaleźć uzasadnienie dla przeniknięcia do wewnętrznej części obozu, nie dołali wpaść na żaden realny pomysł. W zadaniu mieli nakazane sporządzenie szkicu obozu i zrobienie zdjęć fotograficznych. Szkic zewnętrznej części obozu zrobili bez trudu na swej kwatery, mając bowiem swobodę poruszania się odmierzając krokami odległości między poszczególnymi budynkami i barakami. Zdjęcia fotograficzne postanowili zrobić po opuszczeniu obozu zewnątrz, gdyż pozbawiono ich aparatów fotograficznych. Były one zapisane jako wyposażenie służbowe w dokumentach i nie można było ich zataić, a Abwehra zażądała zdeponowania aparatów na czas pobytu w obozie.

Nie zrażeni trudnościami, „Tolek” i „Felek” chcieli koniecznie wykonać i dalszą część zadania: sporządzenie szkiców wewnętrznej części obozu. Utracili nadzieję, by dostać się tam ładem, a czas naglił, bo motocykl la dą dzień miał być naprawiony. Rozmyślając nad tym jak to rozwiązać, wpadli na pomysł, by tę część obozu obejrzeć z morza. Nie będzie można na tej podstawie sporządzić dokładnego szkicu, ale będzie to co najmniej materiał pomocniczy.

W zatoce była przystań dla motorówek, które dla jakichś celów, prawdopodobnie dla patrolowania, wychodziły w morze. „Tolek” nawiązał żyliwe stosunki z obsługą motorówek; motywując chęcią wypełnienia bezczynnego czasu wycieczką, uzyskał zgodę na przejazd z wozem ze swym towarzyszem.

Krażąc motorówką wzdłuż wybrze-

pejskiej, jak i azjatyckiej. Lotnictwo W. Brytanii posiada kilkadziesiąt bombowców różnych typów, nawet szybszych od amerykańskich i będących w stanie osiągnąć każdy obiekt w europejskiej części Rosji.

Co się tyczy Sowietów, to te do roku 1954 nie posiadały większej ilości bombowców o dalekim zasięgu; dopiero od tego czasu przyspieszyli ich produkcję. Znane są dwa typy bombowców sowieckich. Pierwszy to „Bizon” o szybkości 900 kilometrów na godzinę (a więc mniejszej od amerykańskich) i o zasięgu około 8.000 km (a więc większym od amerykańskich; nie jest on jednak przystosowany do zaopatrywania w paliwo w powietrzu — posiada w rezultacie mniejszy zasięg od amerykańskich). Drugim znanym typem bombowca sowieckiego jest „Miedwiedź”, który ma jednak zasięg znacznie mniejszy, bo zaledwie 6.500 kilometrów. Ogólna przypuszczalna liczba bombowców, którymi dysponują obecne Sowiety, nie przekracza 600 sztuk.

Rzeczoznawcy wojskowi twierdzą, że obecnie jeden tylko samolot, uzbrojony w bomby A lub H, w czasie jednego lotu bojowego dokonałby większych zniszczeń, niż te, jakich dokonał lotnictwo alianckie w Niemczech, w czasie całej ostatniej wojny. Rozmiary tych przypuszczalnych zniszczeń są właśnie istotnym hamulcem przed użyciem bomby atomowej i atakiem przez zaskoczenie.

Ten bowiem, kto rozpoczyna pierwszą wojnę przez zaskoczenie, musi mieć całkowitą pewność, że zdoła za pierwszym uderzeniem unieszkodliwić przeciwnika w takim stopniu, by nie był on w stanie dokonać równie niszczyielskiego odwetu.

Dla Sowietów możliwość taka do tychczas nie istnieje. Musiałby one w pierwszym uderzeniu niszczyć wszystkie bazy lotnicze Aliantów, z których mogłoby wyjść przeciwuderzenie.

Sojusznicy Paktu Atlantycznego posiadają w Europie i Afryce ponad 400 baz lotniczych, rozmieszczonych szerokim półkolem wokół Związku sowieckiego. Z baz tych bombowce alianckie mogą osiągnąć każdy punkt na terytorium sowieckim. Jednoczesne zniszczenie wszystkich tych baz jest mało prawdopodobne. Ponadto Zachodowi zapewnia dużą przewagę fakt ugrupowania lotnictwa strategicznego w dwóch rzutach, z których drugi znajduje się na odległym kontynencie amerykańskim. Ktorekolwiek z tych grupowań lotnictwa została zaatakowana, a nawet zniszczona, inne zawsze będzie miało dość czasu na dokonanie straszliwego odwetu.

Zdaniem większości polityków, a także znacznej części specjalistów wojskowych, to właśnie jest powodem częstych powtarzanych, z góry obliczonych na efekt propagandowy „pokojujących” gestów sowieckich. Mają one na celu sianie zamętu w opinii światowej. W rzeczywistości zaś Związek sowiecki tylko cicha na to, by załamała się zgoda i jedność obronna wolnego świata. Moskwa wówczas potrafiłaby wykorzystać sytuację, by przy pomocy szantażu i groźby, a może nawet bezpośredniej agresji, rozprawić się kolejno z wolnymi narodami.

Jest bardzo prawdopodobne, że mająca się zebrać jeszcze w końcu bieżącego miesiąca konferencja w sprawie zawieszenia doświadczeń z bronią atomową odsoni przed światem nowy podstęp i złą wolę Sowietów oraz zderze ostatecznie maskę „głosiciela pokoju i braterstwa ludów”, w którą tak chętnie przystrajają się Sowiety podpalaczy świata. Z. Nullus

że starali się jak najdokładniej utrwalic w pamięci rozmieszczenie w wewnętrznej części obozu hangarów, hal warsztatowych, budynków mieszkalnych, biurowych itp. Zauważyli, że i wewnętrzna część obozu była rozdzielona ogrodzeniem. W hangarach zobaczyli samoloty, przy krótkich mechanicy wykonywali jakieś czynności. Z oddali wydawało im się, że były to jakieś nowe, niezbrane im typy samolotów. Obok hangarów zauważyli budowle z betonu i szyn, których przeznaczenia nie można było odgadnąć; podobne były do ramp wznoszących się ku górze.

Z obserwacji tej sporządzili — na swej kwatery — szkic, który z innymi kompromitującymi notatkami i papierami starannie przechowywali w podstępnych skrytkach.

Gdy następnego dnia naprawionym motocyklem wyjeżdżali z Peenemünde, opuszczali obóz z poczuciem dobrze spełnionego zadania. Co, oczywiście, „Dzięciol” potwierdził, dziękując im gorąco za ich wyzwin.

Jednym jeszcze, rozsądnym krokiem pozyskali sobie uznanie „Dzięciola”. Przed udaniem się w drogę powrotną zastanawiali się, że głupota byłoby oddawanie Niemcom pięknego motocykla, który oddał im nieoceniecnie usług, stając się kluczem do Peenemünde; mógłby przecież przydać się im i do innych podobnych zadań w przyszłości. Rozsądek wziął jednak górę. Podróż bowiem wewnątrz kraju na motocyklu z tym numerem rejestracyjnym bez rozkazu jazdy byłaby niebezpieczna i mogła stać się powodem wyspy, co obróciłoby w niwecz ich dobrze spełnione zadanie.

Z bólem serca zwrócili w komendzie wybrzeża motocykl, odmeldowali się służbowo, podziękowali za udzieloną im cenną pomoc i pociągami wrócili do Warszawy.

Copyright by K. Irane-Osmecki
(Ciąg dalszy nastąpi)

